DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

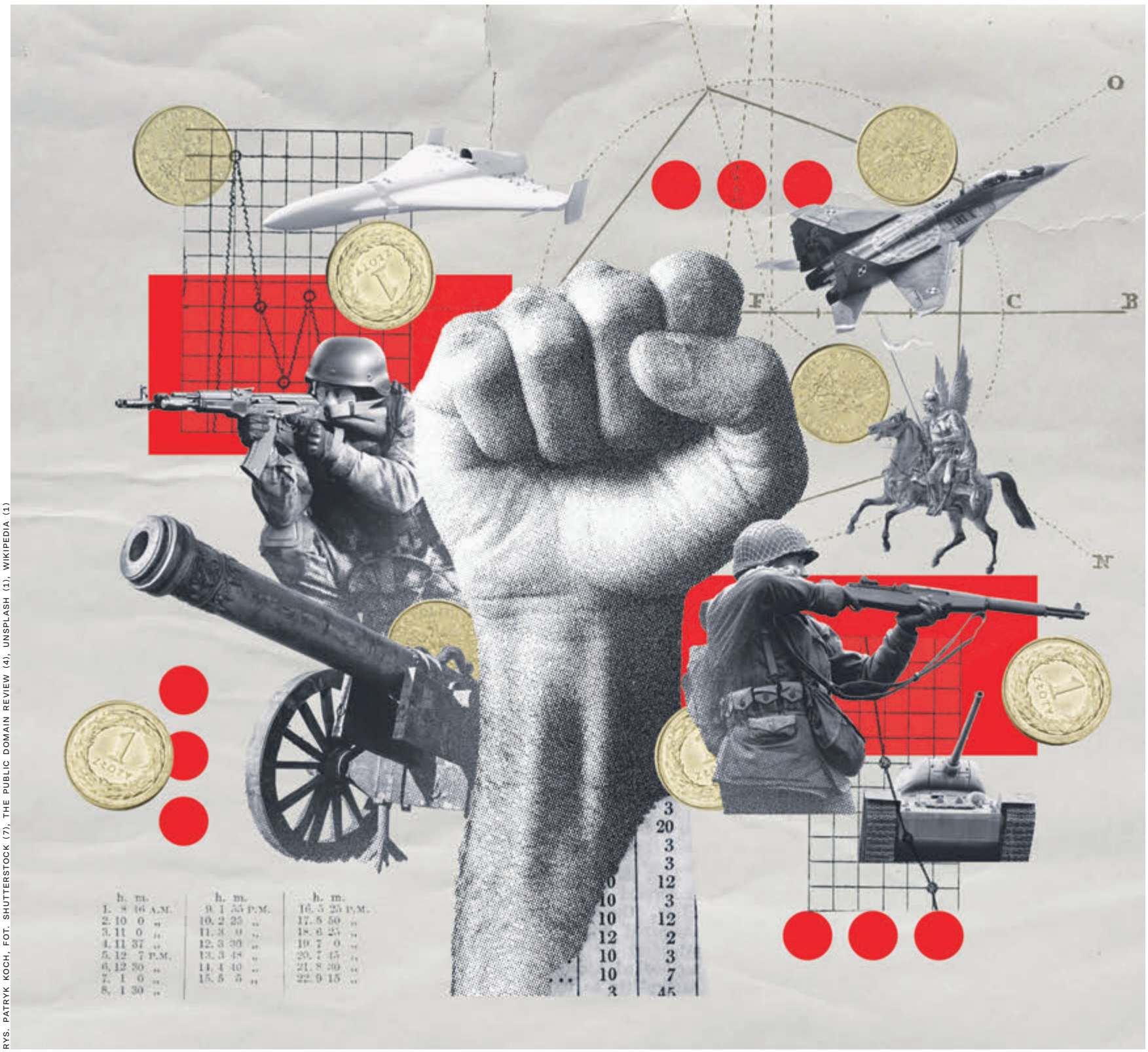

RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (7), THE PUBLIC DOMAIN REVIEW (4), UNSPLASH (1), WIKIPEDIA (1)

Analiza / M**3**

Cyfry same nie walczą

Aby ustalić siłę państwa, należy brać pod uwagę zdolność do manipulowania innymi oraz do ochrony wewnętrznej spójności

tłumaczy Witold Sokała

Opinia / M**5**

Pokój musi kosztować

Zwiększone wydatki obronne nie staną się silnikiem rozwojowym polskiej gospodarki, ale i tak warto je ponieść

uważa Sebastian Stodolak

Finanse / M**8**

Kandydaci na drugą Grecję

W dyskusji na temat kondycji finansów publicznych przewija się pytanie, czy Polska stanie się drugą Grecją. Najkrótsza odpowiedź brzmi „nie”

przekonuje Piotr Wójcik

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 197 (6866), 9–11 PAŹDZIERNIKA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl b4f9edcde2

Brazylia / M12

Biały Dom trzyma kciuki

Brazylia to jeden z nielicznych już krajów kontynentu, którym nie rządzi naśladowca Donalda Trumpa. Lada chwila może się to zmienić
relacjonuje Mariusz Janik

Wywiad / M19

Instytucje nie chcą się zajmować kwestią przemocy

W formularzu rozwodowym przemoc jako pozycja w ogóle nie występuje, a sądy od lat nie badają tej kwestii przy orzekaniu o kontaktach z dziećmi
mówi Marta Żejmo-Adamiuk

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Załamanie się kasty

Jan Wróbel

Prawo i Sprawiedliwość uderzyło w Trybunał Konstytucyjny w 2015 r., wykorzystując to, że PO nagięło przepisy. Chcieliście mieć „swój" Trybunał, no to nie będziecie mieli – stwierdził Jarosław Kaczyński. I gdyby jego partia tylko sparowała zamach PO na praworządność, to żylibyśmy w innej Polsce. Jak pamiętamy, było inaczej – TK, a potem także KRS miały stać się „swoje", przeciwne PO i „układowi". Minęło parę lat gorączkowych sporów i słowo „układ" zostało podmienione na „kastę".

Przeciwnicy Kaczyńskiego wywodzili się ze środowisk, które przywykły do tego, że mają oczywiście oczywistą rację i daną przez Opatrzność rolę wychowawcy głupiego narodu. A jednak nieraz wyrażali pretensję wobec sędzi Ireny Kamińskiej, która na kongresie sędziów w 2016 r., w charakterystycznej dla epoki atmosferze wiecu, chwaliła sędziów jako „nadzwyczajną kastę". Bo co innego kastą się czuć, co innego powiedzieć to na głos, kiedy populiści atakują.

Tylko że system wymiaru sprawiedliwości naprawdę trzyma się na zasadzie, za przeproszeniem, wyjątkowości sędziów.

To naprawdę irytujące. Zwłaszcza wtedy, kiedy jakieś nagranie, jakiś wpis na Facebooku, jakieś uzasadnienie wyroku ukazują małość i miałkość tego czy innego przedstawiciela Temidy. Przy całej tej irytacji powiedzmy sobie prawdę: czy rzeczywiście chcemy oddać tworzenie norm prawnych i interpretację prawa w ręce narodu? I przedstawicieli suwerena, czyli posłów i senatorów? Nie przez przypadek cywilizowane społeczeństwa unikają takiego rozwiązania. Przeciwnie, dają sędziom immunitety i dodatkową ochronę prawną. Wychodzą z założenia, że albo sędziowie są, mówiąc wprost, ustawieni ponad naród, albo będą wydawać wyroki w lęku przed tym, co ludzie powiedzą, a politycy zrobią.

– W jakimś sensie jesteśmy niezwykli, bo od kilkudziesięciu lat, wbrew politykom, którzy robią wszystkie reformy wbrew obywatelom i obok tego, co jest naprawdę potrzebne, staramy się opanować ten chaos, który powodują właśnie politycy – władza wykonawcza i ustawodawcza – mówiła już w spokojnej rozmowie sędzia Kamińska (2018 r.). Nie sądzę, aby wielu Polaków podpisało się dzisiaj pod tą pochwałą sędziów. Jednak istotą problemu, z jakim mierzymy się dzisiaj, kiedy premier Tusk zastanawia się, którym oddziałem szturmowym przejąć budynek TK, jest właśnie załamanie się „kasty". Od wielu lat najważniejsze – i zwaśnione – środowiska sędziowskie widzą siłę po stronie partii politycznych, a nie po stronie własnej misji (i wyjątkowości). Przez „opanowanie chaosu" liderzy środowiska sędziowskiego rozumieją wspomaganie „swoich" polityków i pomoc w zagospodarowywaniu ich zwycięstwa. ©℗

FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

Surowce / M21

Geologiczny testament PRL

W poszukiwaniu surowców krytycznych mogą pomóc mapy sprzed pół wieku i dawno pobrane rdzenie
pisze Jacek W. Brzozowski

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

eprasa.pl b4f9edcde2

Cyfry same nie walczą

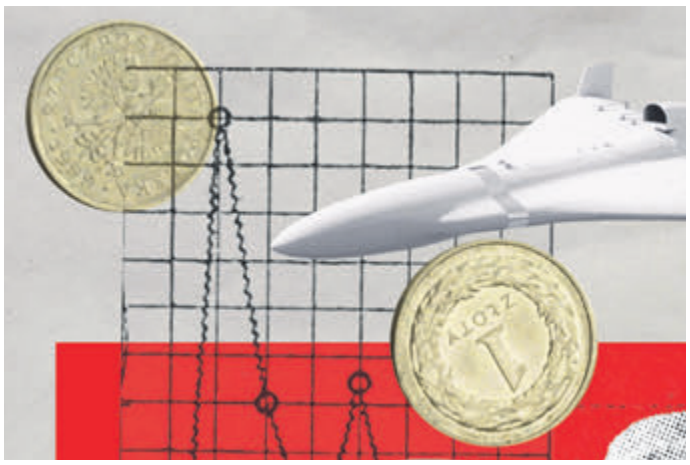

RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (7), THE PUBLIC DOMAIN REVIEW (4), UNSPLASH (1), WIKIPEDIA (1)

Kiedyś siłę państwa chętnie mierzono liczbą jego pułków oraz poziomem produkcji stali. Dzisiaj, poza czynnikami wojskowym i ekonomicznym, należy brać pod uwagę również zdolność do manipulowania innymi podmiotami oraz do ochrony wewnętrznej spójności politycznej

Witold

Sokała

– Ile dywizji ma papież? – miał ironicznie pytać Józef Stalin podczas jednej z konferencji, na których planowano nowy, powojenny porządek świata. Słowa te – nawet jeśli nigdy nie padły z ust sowieckiego dyktatora – są znakomitą ilustracją pewnego sposobu myślenia o strategii i o jej kluczowej kategorii – sile.

Akurat w tamtych czasach takie podejście miało rację bytu, bo to właśnie masy wojska, sterowane decyzjami Stalina, były głównym elementem jego przewagi nad innymi graczami. Rzecz w tym, że taka sytuacja nie jest regułą w dziejach. Owszem, liczebność i jakość sił zbrojnych zawsze miała znaczenie, ale bynajmniej nie wyłączne.

Ekonomia przede wszystkim

Oczywistością jest przypomnienie, że nawet najwspanialsze armie muszą mieć co jeść i czym strzelać. Jeśli brakuje im podstawowego zaopatrzenia, błyskawicznie się zmieniają albo w bandy rabusiów pozbawionych dyscypliny i podatnych na ciosy nawet teoretycznie słabszego przeciwnika, albo wręcz w buntowników gotowych skoczyć do gardeł dotychczasowym panom i wodzom.

Bywały co prawda w historii przypadki, gdy w specyficznych okolicznościach wielkie i całkiem sprawne armie żywiły się albo na wrogu, albo (częściej) na Bogu ducha winnych mieszkańcach terenów będących teatrem działań wojennych. Podczas wojny trzydziestoletniej do perfekcji doprowadził tę koncepcję cesarski generał Albrecht von Wallenstein (a Szwedzi, z którymi się zmagał, okazali się pojętnymi naśladowcami). Zazwyczaj jednak to silna własna gospodarka i pełen skarbiec stanowiły podstawę trwałych przewag militarnych. A im droższe stawało się uzbrojenie, im bardziej skomplikowane technicznie jego wytwarzanie, a wreszcie – im więcej nowoczesna wojna wymagała paliw, stali i betonu, tym zależność ta się pogłębiała.

Po drodze zaznaczyła się także rola własnej innowacyjności technologicznej oraz zdolności do szybkiej adaptacji cudzych wynalazków. Cóż z tego, że Chińczycy wynaleźli niegdyś proch, jeśli tysiąc lat później to zachodnie armie – za pomocą nowoczesnych dział i karabinów – upokarzały ich upadające imperium, z siłami zbrojnymi wciąż opartymi na wojakach wyposażonych w prymitywne muszkiety, a nawet włócznie i łuki. II wojnę światową wygrały zaś nie tylko masy radzieckich żołnierzy, lecz także radar i bomba atomowa.

Niekiedy najbogatsze państwa nawet nie musiały zanadto się wysilać w wojnach z rywalami – do powiększania wpływów i potęgi wystarczała im przewaga ekonomiczna, kontrola kluczowych surowców lub szlaków handlowych, tak jak w przypadku imperium hiszpańskiego w jego złotym wieku lub Wielkiej Brytanii podczas rewolucji przemysłowej. Z kolei swoją wojnę z Japonią u progu XX w. carska Rosja przegrała (narażając się w konsekwencji na poważne turbulencje wewnętrzne) w dużym stopniu ze względów logistycznych. Na morzu – gdyż eskadra bałtycka po długim i wyczerpującym rejsie wokół Europy i Afryki znajdowała się w tak fatalnym stanie, że rywal (i tak mający przewagę techniki i dowodzenia) bardzo łatwo zdemolował ją w Cieśninie Cuszimskiej. Na lądzie – z powodu gigantycznych kłopotów z przerzutem na Daleki Wschód wojsk i zaopatrzenia z europejskich garnizonów i magazynów.

Warto w tym kontekście przypomnieć, że Związek Radziecki implodował przecież nie wskutek przegranej pełnoskalowej wojny z NATO, ale pod ciężarem własnej, systemowo zakodowanej niewydolności gospodarczej. Owszem, sprowokowanej nowym etapem wyścigu zbrojeń, który narzucił Ronald Reagan, blefując na temat amerykańskiego programu „wojen gwiezdnych". Papież Jan Paweł II troszkę mu pomógł w pokonaniu „imperium zła", swoimi instrumentami i kanałami, mszcząc się przy okazji za domniemane, pogardliwe słowa Stalina.

Proces uzależniania strategicznej przewagi od zasobów gospodarczych osiągnął chyba apogeum podczas ▷

eprasa.pl b4f9edcde2

I wojny światowej. Wszak o jej wyniku nie przesądziło ani bohaterstwo żołnierzy, ani jakość sztuki operacyjnej, uzbrojenia i taktyki (te wszystkie elementy osiągały z grubsza podobny poziom we wszystkich głównych armiach), lecz właśnie siła zaplecza surowcowego i produkcyjnego.

Z historii soft power

Warto jednak odnotować, że Niemcy, zanim załamały się pod ciężarem głodu i deficytów w zaopatrzeniu na froncie zachodnim, odniosły błyskotliwy sukces na wschodzie. Nie tylko masą dywizji piechoty i pułków artylerii, choć te zadały carskiej armii bolesne ciosy. Ostateczny krach Rosji sprowokował jednak wywiad, notabene za drobniutki ułamek kosztów bardziej konwencjonalnych działań. Niejaki Władimir Uljanow, pseudonim konspiracyjny Lenin, w odpowiednim momencie przerzucony do Piotrogrodu ze Szwajcarii (via Skandynawia), sowicie zaopatrzony w pieniądze, stosowny sprzęt i dywersyjne know-how, stał się najpierw detonatorem, a potem przywódcą zwycięskiej rewolucji.

Szef tajnych służb kajzera, pułkownik Walter Nicolai, nie przypuszczał wtedy, że tworzy potwora, który ćwierć wieku później połknie i jego samego, i jego ojczyznę. W 1918 r. święcił triumfy, bo udało się wreszcie wyłączyć Rosję z walki, zagarnąć ogromne terytoria i przede wszystkim zwolnić znaczną część sił lądowych do ostatniej, desperackiej ofensywy na zachodzie. Zdaniem niektórych historyków, gdyby ten przełom nastąpił nieco wcześniej – zanim na dobre rozkręciły się amerykańskie dostawy ludzi i sprzętu na Stary Kontynent – dalszy przebieg i rezultat całej wojny mógł być dla Niemiec znacznie korzystniejszy.

Z drugiej strony zawsze istniało coś poza gospodarką, armią i flotą. Papiestwo, wykpiwane przez Stalina w połowie XX w., kilkaset lat wcześniej potrafiło długo trzymać w garści cały ówczesny Zachód i okolice głównie za pomocą czynników pozamilitarnych, czyli soft power. Ekskomunika lub nawet jej groźba potrafiła zdziałać więcej niż hufce rycerzy w lśniących zbrojach i zastępy najlepszych kuszników. Podobnie działała dyskretna manipulacja, narzędzie łatwe do zastosowania w sytuacji, gdy niemal cała kadra piśmiennych urzędników królewskich składała się z księży i zakonników, w większości lojalnych przede wszystkim wobec władcy niebiańskiego, a dokładniej – jego ziemskiego namiestnictwa.

Z kolei Francja przez długie stulecia korzystała nie tylko z siły militarnej, lecz także z bardzo sprawnej i zdolnej do niesztampowych posunięć dyplomacji (dość przypomnieć, że ta „najstarsza córa Kościoła", w dodatku kierowana silną dłonią pewnego kardynała, nie zawahała się w kluczowej fazie wojny trzydziestoletniej wesprzeć obóz protestancki przeciwko katolickiemu cesarstwu Habsburgów, a także wielokrotnie zawierała sojusze z osmańską Turcją). Austria natomiast, twardo broniąca militarnie swych południowo-wschodnich rubieży, w grze europejskiej nierzadko stawiała na sprytną politykę dynastyczną zamiast przemocy zbrojnej – przejściowo wręcz czyniąc swe strategiczne kredo z maksymy „bella gerant alii, tu, felix Austria, nube!" (czyli: „niech inni prowadzą wojny, ty, szczęśliwa Austrio, żeń się!").

Pułapki potęgometrii

Dzięki temu bardzo skrótowemu przeglądowi historycznych czynników decydujących o potędze i wpływie łatwo chyba zrozumieć, dlaczego określanie siły poszczególnych państw i ich sojuszy za pomocą mierzalnych czynników jest przedsięwzięciem z góry skazanym na klęskę. Naukowcy i analitycy nieraz podejmowali takie próby, żmudnie licząc pułki, okręty, samoloty, armaty i czołgi, kwoty PKB i zdolności produkcji węgla, ropy, betonu i stali (ostatnio także półprzewodników), kilometry kwadratowe, produkcję zbóż z hektara oraz liczbę ludności w wieku produkcyjnym i poborowym. Efekty tych wysiłków nieodmiennie były i są niezbyt zadowalające, jeśli nie wręcz śmieszne.

O sile armii nie decydują bowiem wyłącznie liczby bezwzględne, lecz głównie przygotowanie do konkretnego zadania lub – szerzej – adekwatność do specyfiki środowiska bezpieczeństwa danego państwa oraz typowych dlań wyzwań i zagrożeń. Na przykład liczba czołgów inaczej przekłada się na zdolność bojową (a tym samym na zdolność osiągania celów politycznych) w przypadku skłóconego z sąsiadami kraju śródlądowego, a inaczej w przypadku podmiotu wyspiarskiego, uzależnionego od dostaw surowców lub eksportu. Wtedy ważniejsza staje się flota, ewentualnie projekcja siły, czyli zdolność podejmowania szybkiej interwencji w oddalonych punktach, dysponowanie dobrym wywiadem, komandosami, lekką, mobilną piechotą oraz samolotami transportowymi. Do tego dochodzą też uwarunkowania sojusznicze, zarówno na płaszczyźnie czysto militarnej (kwestia kompatybilności wyszkolenia, dowodzenia, łączności, wyposażenia), jak i politycznej (w skrócie: oparta na zbieżności interesów wiarygodność gwarancji).

Analogicznie – o sile gospodarki nie wszystko mówią nam suche dane dotyczące popularnych wskaźników. Jest wiele kwestii zupełnie niewymiernych, chociażby zdolności dostosowania do zmiennych uwarunkowań i nowych wyzwań. Tylko w pewnym stopniu zależą one od sposobu organizacji, mentalności, jakości otoczenia instytucjonalnego, systemu edukacji, nauki i wdrożeń. Jest przebłysk geniuszu decydentów lub przeciwnie, ich głupota wykazana w krytycznym momencie, a nawet czysty przypadek.

Dodatkowym komplikatorem jest zmienność znaczenia niektórych czynników w czasie. Rozległość terytorium przez stulecia była generalnie atutem, bo warunkowała nie tylko korzystny dostęp do zasobów ziemi uprawnej i surowców, siły roboczej i potencjału mobilizacyjnego, lecz także tak zwaną głębię strategiczną, czyli możliwość długiego wycofywania się pod naporem sił przeciwnika aż do krytycznego rozciągnięcia jego dróg komunikacyjnych. Na tym elemencie bardzo długo budowała swą pozycję Rosja, także pod przejściową postacią ZSRR. W nowych czasach większość wspomnianych plusów przestaje mieć znaczenie, o ile nie przekłada się bezpośrednio na atuty nowej generacji, czyli innowacyjność technologiczną, rolę w międzynarodowym podziale pracy oraz najbardziej przydatne tu i teraz zdolności wojskowe.

Parę użytecznych kazusów

Przeciwnie, te tysiące kilometrów często stają się obciążeniem pochłaniającym pieniądze przeznaczane na administrowanie i kontrolę. Tymczasem do najbardziej atrakcyjnych zasobów i tak będą się dobierać gracze zewnętrzni, bo wcale nie muszą podbijać terytorium zbrojnie, jak to bywało przez wieki. Wystarczy inwestować albo korumpować i innymi metodami podporządkowywać sobie miejscowe władze publiczne, albo – zazwyczaj – stosować elastyczną kombinację obu metod. Ilustracją tego mechanizmu znów może być Rosja (i jej relacje z Chinami).

Przedłużająca się bezradność amerykańskiego supermocarstwa ekonomicznego i militarnego wobec Iranu skłania z kolei do postawienia pytania o granice tradycyjnie pojmowanej siły we współczesnym świecie. To ważna kwestia także dla Unii Europejskiej – znakomicie wypadającej w zestawieniu demograficznym, siły nabywczej rynku, wielkości PKB (choć niekoniecznie jego dynamiki), obrotów handlowych, a nawet innowacyjności technologicznej oraz liczby żołnierzy, samolotów i okrętów (choć nadal, mimo refleksji i wysiłków, niekoniecznie w zakresie zdolności do bieżącej produkcji dużej ilości amunicji artyleryjskiej i rakietowej). Ta potęga wojskowa i gospodarcza okazuje się jednak mocno papierowa, gdy Europejczycy próbują wykorzystać ją do wymuszenia na podmiotach zewnętrznych zachowań, pożądanych z punktu widzenia ich interesów. Kiedyś, owszem, działała oferta uprzywilejowanych stosunków i obietnica członkostwa, ale jakoś straciła na blasku. Wciąż da się nią machać przed nosem przyjaciołom (Kanada), państwom grającym z grubsza wedle tych samych reguł (Mercosur) oraz drobnym nieszczęśnikom ulokowanym przez los w strefie geostrategicznego zgniotu (Mołdawia, Armenia, nawet Ukraina). Dawna, ukochana „miękka siła przyciągania" UE oraz jej liczne zalety ekonomiczne i kulturalne zupełnie nie działają jednak ani w relacjach z USA, od kiedy te postanowiły jawnie i brutalnie wdrożyć „pivot na Pacyfik" i doktrynę „America First", na muzułmańskich radykałów w różnych wcieleniach, na Chiny ani nawet na Rosję – słabszą przecież od „zjednoczonej" Europy pod każdym względem, a pod wieloma nawet od rozpatrywanych pojedynczo co większych państw unijnych.

Niektórzy próbują sprowadzać ten paradoks do braku po stronie europejskiej (przyjmijmy, że problem jest wspólny dla członków Unii i dla takich państw jak choćby Wielka Brytania) zdolności i gotowości do stosowania siły militarnej. I rzeczywiście, teoretyczne potęgi Starego Kontynentu dawno straciły swą dawną łatwość w sięganiu po nagą przemoc wojskową. Może ostatnimi jej przebłyskami były zdecydowana interwencja brytyjska w obronie Falklandów (już prawie pół wieku temu) oraz francuska akcja w Mali, czyli błyskotliwa taktycznie i przynajmniej przejściowo skuteczna operacja Serwal z 2013 r., gdy złojono skórę tamtejszym islamistom. Za to w relacjach z Rosją, coraz bardziej agresywną i w dodatku coraz wyraźniej włażącą w szkodę fundamentalnym interesom bezpieczeństwa europejskiego, politycy i opinia publiczna zachowują się tak, jakby perspektywa walki wydawała się im większym złem niż dobrowolne pójście pod but Władimira Putina.

Tajemniczy współczynnik X

Mamy tu niewątpliwie mieszankę paru czynników. Pięknoduchostwa, czyli sprzecznego z realiami poczucia moralnej wyższości nad sięgającymi po przemoc „prymitywami", strachu opartego na niekompetencji, czyli na wierze w rosyjski blef użycia broni nuklearnej przeciwko państwom NATO, oportunizmu, czyli rachuby na kupieckie zyski z ewentualnie przywróconej kooperacji gospodarczej z bandyckim reżimem. Do tego dochodzi niechęć do osobistej ofiary, nie tylko tej największej, z życia i zdrowia, ale nawet z poziomu codziennej konsumpcji. I wreszcie – nieumiejętność rozwiązywania własnych problemów wewnętrznych oraz podatność na wrogie wpływy z zewnątrz. Bo ta bogata i dobrze wyposażona Europa

> O sile armii nie decydują wyłącznie liczby bezwzględne, lecz głównie przygotowanie do konkretnego zadania lub adekwatność do specyfiki środowiska bezpieczeństwa danego państwa oraz typowych dlań wyzwań i zagrożeń

eprasa.pl b4f9edcde2

jednocześnie coraz gorzej radzi sobie z zarządzaniem na poziomie makro i mikro, z psychospołecznymi skutkami zaniedbań i błędów, co widać dzisiaj od Hiszpanii przez Francję po Niemcy. Te problemy zaś wykorzystują do swych celów i wzmacniają spece od dywersji z Rosji, Iranu i być może jeszcze z kilku innych ośrodków. My tymczasem nie potrafimy się zdobyć na adekwatne przeciwdziałanie i na skuteczną obronę.

Trudno ukryć, że na drugim biegunie skali znajduje się Rosja, a pod pewnymi względami także Chiny. W obu przypadkach mamy tu do czynienia z długofalową i konsekwentną strategią kierownictwa państwowego, pomimo „błędów i wypaczeń" realizowaną przy pomocy względnie profesjonalnych kadr średniego szczebla (w dyplomacji, wojsku, wywiadzie oraz w kontrolowanym przez państwo biznesie), dużą odpornością społeczeństwa na wpływy zewnętrzne (ze strategicznego punktu widzenia nieważne, że uzyskaną za pomocą metod nawet skrajnie autorytarnych), a także wartą docenienia zdolnością maksymalnej mobilizacji nawet nikłych zasobów, czyli mówiąc prościej – blefu, który często zastępuje realny potencjał.

Można się pokusić o twierdzenie, że w przypadku Stanów Zjednoczonych niekompetencja kierowników i części wykonawców polityki zewnętrznej państwa wraz z prymatem interesów prywatnych nad uniwersalną racją stanu powoduje, że gigantyczny przecież potencjał nie jest wykorzystywany do osiągania założonych celów. Siła, jakkolwiek ją mierzymy, jest bowiem wyłącznie wartością teoretyczną. W praktyce liczy się natomiast sprawczość. Ona zaś powstaje, gdy tę siłę pomnożymy przez wartość współczynnika X – stanowiącego w poszczególnych przypadkach zestaw różnie dobieranych składowych, np. cech mentalnych społeczeństwa, jakości, umocowania instytucjonalnego i sposobu zadaniowania służb wywiadu i kontrwywiadu, nastawienia elit, ich woli i determinacji, odwagi i inteligencji, cech systemu politycznego i jego skuteczności w reagowaniu na problemy, a także... łutu szczęścia.

Niektórym ów zsumowany z tak różnych elementów „x" multiplikuje wydajność ich chudych muskułów. U innych przyjmuje wartość mniejszą niż jeden, czyli daje sprawczość mniejszą niż potencjalna siła. Męcząc się nad podniesieniem wymiernych wskaźników, ładnie wyglądających w Excelu, warto więc zadbać także o te elementy trudniej uchwytne i mniej wymierne. A pierwszym krokiem jest ich właściwe rozpoznanie i docenienie. ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold
Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP

Cena pokoju

Zwiększone wydatki obronne nie staną się silnikiem rozwojowym polskiej gospodarki, ale i tak warto je ponieść

Sebastian
Stodolak

W połowie września 2026 r. w Sejmie minister finansów i gospodarki Andrzej Domański mówił: „Chcemy, by polski przemysł obronny był nowym silnikiem napędowym polskiej gospodarki. Te wydatki – 200 mld zł w skali roku – muszą się przekładać na wzrost gospodarczy i na inwestycje. I chcę państwa zapewnić: będą".

Obawiam się, że to zapewnienie jest po prostu niewiarygodne. Nie dlatego, że minister chce wprowadzić nas w błąd, lecz dlatego że bierze na siebie zadanie, które jest ponad jego siły. Wydatki militarne per saldo są raczej kosztem niż inwestycją.

Dyskusja historyczna

Wielokrotnie słyszeliśmy, że wydatki zbrojeniowe przekładają się na modernizowanie gospodarki. Czyż nie tak USA budują swoją potęgę? Największe wynalazki ostatnich dekad – w tym internet czy GPS – narodziły się w tamtejszych laboratoriach wojskowych. Polska zatem, inwestując w armię, powinna upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: uzyskać wzrost i bezpieczeństwo.

To prawda, że wydatki wojskowe mogą prowadzić do innowacji, ale to nie znaczy, że dzięki temu w ujęciu całościowym stają się motorem rozwoju gospodarczego. Ci, którzy argumentują przeciwnie, stosują starą sztuczkę erystyczną, przedstawiając część (punktowe innowacje) jako całość (przyspieszenie rozwoju gospodarki jako takiej).

Pionier konceptu PKB Simon Kuznets, który w latach 30. XX w. otrzymał od amerykańskiej administracji zlecenie stworzenia wiarygodnych rachunków narodowych dla USA, wziąłby naszego ministra na stronę i powiedział: „Szanowny panie! Wydatki na obronność nie powiększają dobrobytu narodowego, a raczej zaburzają rynki, obniżając efektywną alokację kapitału i zubażając konsumenta. To koszty pośrednie, a nie żadne inwestycje". Minister mógłby zaoponować, że przecież Kuznets batalię o to, jak liczymy PKB, przegrał z Johnem Maynardem Keynesem. To właśnie dzięki wysiłkom tego drugiego do rachunku narodowego wlicza się wydatki obronne. A skoro tak, to muszą być wartością dodaną, więc, Simonie, nie ma pan racji. Tu jednak wtrąciłby się sam Keynes. „To prawda, że moje podejście wygrało, ale, Andrzeju, zrozum moje intencje. Chciałem dać rządowi instrument, który w czasie wojny pokazywałby, ile zasobów do wykorzystania posiada państwo. To bardzo ważne, ponieważ rząd musi wiedzieć, na co może sobie w trakcie wojny pozwolić. Pamiętaj, że mówimy o wojnie z hitlerowcami! Koncept Simona nie umożliwia takiej oceny. Nie uważam jednak, że wydatki wojskowe to recepta na wzrost. Mogą one pobudzić gospodarkę, ale tylko w warunkach głębokiego kryzysu, gdy mamy do czynienia z masowym bezrobociem. Zresztą przeczytaj moją książkę «Jak płacić za wojnę», a zrozumiesz, że w Polsce XXI w., która nie przeżywa kryzysu i w której żadna praca ani maszyneria nie stoi odłogiem, obronność gospodarki nie poniesie" – mógłby powiedzieć.

Nie poniesie? A przekonanie, że wojna poniosła USA i wydźwignęła z Wielkiej Depresji lat 30.? Czy ono nie jest słuszne? Nie. To poniekąd statystyczne złudzenie. W czasie wojny do PKB wliczano produkcję czołgów i bombowców po cenach ustalanych przez państwo, a bezrobocie zniknęło, bo miliony mężczyzn trafiły do armii. To po prostu tylko wyglądało jak ożywienie. Jak pisze historyk gospodarki Robert Higgs w artykule „Wartime Prosperity? A Reassessment of the U.S. Economy in the 1940s", „w czasie wojny w USA funkcjonowała gospodarka planowa. W latach 1942–1946 niektóre wskaźniki wyników makroekonomicznych są statystycznie niedokładne, a inne nieodpowiednie pod względem koncepcyjnym. (...) gospodarka była ogromnym arsenałem, w którym pogorszył się dobrobyt konsumentów. Dopiero po wojnie po raz pierwszy od 1929 r. powrócił prawdziwy dobrobyt".

Wojna chleba nie rozmnoży

Ekonomiczne dywagacje sprzed ponad 70 lat miały poważną wadę: były osadzone niemal wyłącznie w teorii. Ot, spekulacje. Badania ekonomiczne, zwłaszcza pod względem instrumentarium, nie były jeszcze na tyle rozwinięte, by dostarczać wiarygodnych i szczegółowych danych pozwalających na weryfikację twierdzeń teoretycznych. Nie mieliśmy jeszcze komputerów i zaawansowanych programów do statystyki, a metody pozyskiwania informacji stosowane przez rozmaite urzędy szwankowały. Dzisiaj jednak – gdy danych mamy aż nadto – wiemy, że intuicja nie zawiodła wielkich ekonomistów.

Koncepcję mnożnika opracował w latach 30. XX w. Richard Kahn w odniesieniu do rynku pracy, potem przejął ją i rozwinął wspomniany już Keynes, by w końcu całe stada badaczy akademickich zajęły się – mniej więcej od lat 50. – empirycznym wyliczaniem mnożnika w konkretnych przypadkach. Zgodnie z ideą mnożnika początkowy zastrzyk finansowy (np. wydatek rządowy lub inwestycja) wywołuje reakcję łańcuchową, powiększając całkowity dochód narodowy o wartość większą niż sam pierwotny nakład. Dzieje się tak, ponieważ pieniądze wydane przez jeden podmiot stają się dochodem drugiego, który z kolei przeznacza ich część na dalsze zakupy i stymuluje kolejne ogniwa rynku. W rezultacie ostateczny wzrost gospodarczy lub poziom zatrudnienia stanowi wielokrotność początkowego impulsu, co czyni ten mechanizm fundamentem polityki wspierania koniunktury. I tak mnożnik ujemny oznacza, że dodatkowe wydatki publiczne zmniejszają PKB. Przy mnożniku -0,5 każdy wydany dolar obniża PKB o 0,5 dol. Mnożnik równy 0 oznacza, że PKB się nie zmienia, a wydatek został w całości wyparty spadkiem wydatków sektora prywatnego albo eksportu. Mnożnik równy 1 oznacza, że wydatki w danej wysokości podniosły PKB o tę samą kwotę. Mnożnik większy niż 1 oznacza, że wzrost PKB był większy niż wyniosły wydatki. Warto dodać, że efekt mnożnikowy ma sporo ograniczeń. Zakłada z góry m.in. wolne moce wytwórcze w gospodarce czy politykę pieniężną, która nie podnosi stóp. Gdy któreś z tych założeń odpada, teoria daje mnożnik bliski zera albo ujemny.

Ekonomiści Międzynarodowego Funduszu Walutowego pod kierunkiem Hippolyte'a Balimy przeanalizowali efekt mnożnikowy wydatków obronnych w potężnym badaniu obejmującym 164 kraje i 215 epizodów gwałtownych zbrojeń od 1946 r. Wyniki opublikowali w kwietniu 2026 r. Okazało się, że 1 zł wydany na wojsko przynosi średnio mniej więcej tyle samo PKB, czyli mnożnik jest bliski 1. Za tą średnią kryją się jednak ogromne różnice, zależne od tego, jak długo trwa wzrost wydatków, jak się go finansuje, na co idą pieniądze i ile sprzętu się importuje. I tak oto mnożnik jest niższy w krajach kupujących broń za granicą, bo popyt wycieka do obcych fabryk, oraz wtedy, gdy zbrojenia są chwilowe. Wyższy jest wtedy, gdy wydatki są trwałe, ale ta droga ma swoją cenę, bo średnio trzy lata po rozpoczęciu typowego boomu deficyt kraju jest wyższy o ok. 2,6 pkt proc. PKB, a dług o ok. 7 pkt proc. Polsce, która zmaga się z trudną sytuacją budżetową, autorzy poświęcili osobne miejsce. Szacują, że nasz rekordowy wzrost wydatków obronnych z 2,2 do ok. 4,5 proc. PKB w latach 2021–2025 dał gospodarce zaskakująco mało. Pieniądze szły głównie na sprzęt, którego aż 80 proc. kupiono za granicą, zwłaszcza w Korei i USA, więc bodziec popytowy w dużej mierze zasilił obce fabryki. Co więcej, zbrojenia finansowane niemal w całości deficytem wymusiły prawdopodobnie bardziej restrykcyjną politykę NBP. Autorzy sugerują też, że większy pożytek gospodarczy dałyby wspólne zamówienia UE i mniejszy udział importu, czyli dokładnie to, co obiecuje... SAFE, czyli Instrument na rzecz Zwiększenia Bezpieczeństwa Europy.

SAFE też gospodarki nie zbawi

Uruchomiony przez Komisję Europejską w 2025 r. SAFE ma rozbujać unijny przemysł zbrojeniowy. Idea jest prosta: Komisja pożycza na rynkach pienią- ▷

eprasa.pl b4f9edcde2

dze, a następnie przekazuje je państwom członkowskim w formie nisko oprocentowanych pożyczek długoterminowych, których spłata może być rozłożona nawet na 45 lat. O to pokłócili się prezydent Nawrocki z premierem Tuskiem. Prezydent uważał, że taki instrument zbyt mocno uzależni Polskę od decyzji zapadających w Brukseli, i zawetował ustawę tworzącą specjalny fundusz na pieniądze z SAFE. Rząd się nie poddał i obszedł weto uchwałą dotyczącą progamu „Polska Zbrojna". Dzięki niej pożyczkę zaciąga BGK na rzecz istniejącego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. Ostatecznie zatem Polska ma dziś do dyspozycji ok. 180 mld zł (43,7 mld euro), z czego ok. 120 mld zł zakontraktowano w bardzo szybkim tempie m.in. na bojowe wozy piechoty Borsuk, armatohaubice Krab, drony FlyEye i 300 tys. hełmów.

Jeśliby oceniać SAFE z perspektywy ekonomicznej, to jest to instrument dający lepszy efekt mnożnikowy dla PKB niż alternatywy, bo obniża on koszt długu i wymusza lokalne pochodzenie sprzętu, czyli rozbudowywanie lokalnej bazy przemysłowej (wymóg 65 proc. europejskiej zawartości zamówień). PKO BP szacuje, że obniżenie udziału importu z 60 do 30 proc. dałoby ok. 360 mld zł więcej PKB do 2035 r. Wspaniale? Nie do końca. Problemów jest kilka.

Po pierwsze, PKO BP liczy optymistycznie: w innym miejscu twierdzi, że przy odpowiedniej przestrzeni fiskalnej i małym imporcie mnożnik może przekraczać 1,5, czyli wartość z górnej granicy tego, co dopuszczają badania. Osiągnięcie takiej wartości nie jest niemożliwe, ale jest mało prawdopodobne, zwłaszcza że SAFE finansuje przede wszystkim zakupy sprzętu, a dodatkowo w części i tak by ich dokonano. Po prostu przeksięgowano niektóre zamówienia. Poważne zastrzeżenia budzi też to, że korzystamy z SAFE za pośrednictwem FWSZ, czyli mechanizmu stworzonego po to, by obejść normalną drogę finansowania armii, co poważnie nadwyręża finanse publiczne. Jak zauważa w swoich opracowaniach NIK, z czasem konieczność finansowania obsługi zadłużenia FWSZ z budżetu MON będzie uniemożliwiać inne zakupy, które budżet MON miał realizować. Kolejna sprawa: SAFE to mechanizm czasowy i jednorazowy impuls z terminem dostaw do 2030 r., a przecież to ciągłość wydatków jest konieczna do tego, by firmy inwestowały w nowe moce produkcyjne.

Z literatury ekonomicznej wynika też, że najbardziej produktywne są te wydatki zbrojeniowe, które przeznacza się na badania i rozwój. Paolo Surico i Juan Antolin-Diaz z London Business School zaprezentowali w 2025 r. wyniki badań, w których zebrali kwartalne dane o wydatkach rządu USA z ostatnich 129 lat z podziałem na konsumpcję, inwestycje oraz badania i rozwój. Wyszło im, że wydatki wojskowe mają duże i trwałe konsekwencje, ale właściwie tylko dlatego, że – przynajmniej w USA – przesuwają strukturę wydatków publicznych w stronę badań, co pobudza innowacje, prywatne inwestycje i w końcu produktywność. Tylko czy wydatki polskiego rządu na obronność – w tym te, które umożliwia SAFE – będą przekierowane na B+R? Na razie niewiele na to wskazuje. W publicznym podziale środków z SAFE nie ma osobnej pozycji na tę sferę. Znaczna część środków przeznaczonych na „kluczowe zdolności technologiczne", takie jak satelity, cyberbezpieczeństwo czy drony, to zakupy gotowych systemów, a nie finansowanie badań, a Ministerstwo Nauki ograniczyło się do ogólnych deklaracji bez kwot.

FOT. SHUTTERSTOCK (11), THE PUBLIC DOMAIN REVIEW (4), WIKIPEDIA (1)

Sztuka doboru argumentów

Jeśli ktoś chciałby odczytać ten tekst jako apel o ograniczenie wydatków militarnych, to nie taka jest moja intencja. Idzie o to, by uzasadniać je w sposób adekwatny, a nie jak i czym popadnie. Powtarzamy, że Polska potrzebuje nowego modelu rozwojowego, a na nieszczęście tezy o wydatkach wojennych jako kole zamachowym gospodarki dobrze się w tę narrację wklejają. W rzeczywistości roli takiej nie odegrają, więc pielęgnowanie podobnych złudzeń grozi potężnym rozczarowaniem.

Wydawać na obronność można głupio albo mądrze. Wszystko zależy od tego, czy dobrze rozumiemy, po co nam te wydatki. Ich cel jest prosty: odstraszać potencjalnego agresora, a gdyby zaatakował – zmiażdżyć go. Niemniej i niewięcej. Są kosztem, ale takim, który warto ponosić, bo i tak będzie znacznie mniejszy niż wartość strat w razie ataku na nas i przegranej. W raporcie „Ekonomiczne koszty wojny dla Polski", opublikowanym przez ZPP i Defence Institute, czytamy, że gdyby Rosja ograniczyła się do zmasowanych uderzeń rakietowo-lotniczych na Polskę, realny PKB spadłby w pierwszym roku o 11,2 proc., inflacja sięgnęłaby 80 proc., a dług publiczny 85 proc. PKB. Powrót do przedwojennego poziomu PKB zająłby co najmniej siedem–dziewięć lat. W wariancie ograniczonej inwazji lądowej, z okupacją Podlasia oraz Warmii i Mazur, PKB skurczyłby się o 29,4 proc., a państwo musiałoby utrzymać blisko 2 mln uchodźców wewnętrznych. Pełnoskalowa wojna z frontem na Wiśle i Sanie oznaczałaby spadek PKB o 55 proc., hiperinflację rzędu 850 proc. i dług na poziomie 250 proc. PKB. Pełna odbudowa kraju kosztowałaby do 5,5 bln zł. Czymże jest 200 mld zł rocznie wobec tej liczby?

eprasa.pl b4f9edcde2

Z perspektywy ich właściwego celu nadmierne skupianie się na wartości dodanej wydatków obronnych i traktowanie ich jako drogi do modernizacji naszej gospodarki może nawet szkodzić zdolnościom obronnym kraju. Może być tak, że wydatki z mnożnikiem 0,3 zwiększają je bardziej niż te z mnożnikiem 1,5, ponieważ niewykluczone, że faktycznie potrzebne są nam dzisiaj raczej potężne platformy bojowe, a nie np. innowacyjne kamizelki kuloodporne będące owocem polskiej myśli inżynieryjnej. Tego tak naprawdę nie wiemy – my, publicyści – bo to jest sprawa znawców wojskowości. Ponadto tak, jak nie wydaje się kontrowersyjna teza, że ochroniarza nie zatrudnia się po to, by uczył nas matematyki i filozofii, tak nie powinno być dziwne, że obronności nie finansuje się po to, by rosło PKB. Finansuje się ją po to, by jakikolwiek wzrost PKB i dobrobytu Polaków był trwale zabezpieczony.

Czy to oznacza, że w planowaniu wydatków na obronność należy całkowicie porzucić kalkulację ekonomiczną? Oczywiście, że nie. Tak jak ochroniarz, którego zatrudniamy, może być doświadczonym eksnajemnikiem znającym kilka rodzajów sztuk walki, a nie np. rencistą chcącym dorobić sobie do świadczeń, tak nasz przemysł obronny może być dynamicznym, innowacyjnym, rentownym środowiskiem. Jeszcze raz: nie oznacza to nowego i silniejszego niż inne impulsu dla gospodarki, lecz po prostu stworzenie jej silnej gałęzi.

Są tu jednak warunki do spełnienia. Środowisko regulacyjne musi sprzyjać konkurencyjności i otwartości. Gdy rząd jest głównym zamawiającym, a rynek jest monopolem albo oligopolem, rząd przepłaca i dostaje jakość poniżej optimum. Należałoby w ogóle porzucić założenie, że rząd wie, czego armii potrzeba. Zamiast zawsze zamawiać to, co uznaje za stosowne, powinien pozwolić także na to, by to rynek oferował armii rozwiązania, a ta je testowała i w razie potrzeby zamawiała w większych ilościach. To model, który stosują Siły Powietrzne USA. Konkursy na granty dla małych firm zwiększyły tam konkurencję i podniosły innowacyjność rynku. Kolejny warunek to wykorzystywanie technologii podwójnego zastosowania (dual use). Zwykle rynek cywilny ma inne potrzeby niż obronny, a jeśli oba działają osobno, walczą o zasoby. Wykorzystanie i rozbudowa technologii podwójnego zastosowania sprawiają, że te same zakłady, kadry i linie produkcyjne służą obu rynkom.

W świetle tego, co wiadomo o wydatkach na obronność, życzyłbym sobie, żeby następnym razem, gdy przedstawiciel polskiego rządu będzie się nimi chełpił, padły takie słowa: „To koszt, który ponosimy po to, by ubezpieczyć nasz rozwój gospodarczy. Wydamy te pieniądze mądrze, ale tempo naszego wzrostu zależy od innych fundamentalnych reform, które podejmiemy”. ©℗

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute

eprasa.pl b4f9edcde2

Nie jesteśmy kandydatami na drugą Grecję

W ożywionej dyskusji na temat kondycji finansów publicznych nieustannie przewija się zasadnicze pytanie, czy Polska stanie się drugą Grecją. Najkrótsza odpowiedź brzmi „nie"

Piotr

Wójcik

Sytuacja budżetowa Polski wzbudza coraz większą konsternację, co odzwierciedliła decyzja agencji Moody's obniżająca rating kredytowy kraju z A2 do A3. Nad Wisłą rozpoczęło się tradycyjne przerzucanie się winą. Rząd przekonuje, że to skutek wrogich działań prezydenta, pałac twierdzi odwrotnie. Wbrew pozorom te krajowe przepychanki nie są niedostrzegane przez analityków z Nowego Jorku. Jednymi ze wskazanych powodów korekty wiarygodności Warszawy w dół są impas między dwoma ośrodkami władzy wykonawczej oraz przyszłoroczne wybory, co najprawdopodobniej uniemożliwi konsolidację fiskalną w najbliższym czasie.

Oczywiście to nie polityka partyjno-gabinetowa zaważyła na decyzji Moody's, lecz sytuacja budżetowa. Od 2023 r. deficyt sektora finansów publicznych przekracza 5 proc. PKB. W 2026 r. wyniesie najpewniej 7,3 proc., a w przyszłym – niespełna 7 proc., chociaż to drugie jest niepewne. W 2027 r. skończą się pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy, za to zacznie się kampania wyborcza, podczas której politykom przychodzą do głowy różne rzeczy. Koalicja rządząca być może zechce przekazać elektoratowi jakieś dary, a prezydent – zgodnie z zasadą „im gorzej, tym lepiej" – postanowi zawetować jakąś ważną reformę.

Łagodna Bruksela

Jak wskazuje strona rządowa, decyzja agencji nie była zaskoczeniem. „Moody's faktycznie dostosował rating Polski do ratingu, który Fitch i S&P utrzymywały przez wiele kwartałów. Rating Moody's był wcześniej wyższy" – zaznaczył minister finansów Andrzej Domański. Poza tym warto zauważyć, że rating A3 to wciąż nienajgorszy poziom, oznaczający zasadniczo niskie ryzyko kredytowe – chociaż ledwie jeden stopień ponad umiarkowanym.

Polska jest jednak pilnie obserwowana nie tylko przez agencje ratingowe, lecz także przez Komisję Europejską. W 2024 r. KE objęła ją procedurą nadmiernego deficytu, która zobowiązuje rząd do zahamowania skali zadłużania się państwa. Według planu już w 2028 r. deficyt powinien spaść poniżej 3 proc. PKB, wymaganych przez traktat z Maastricht. Bruksela i tak dała fory rządowi, gdyż opóźniła obowiązek konsolidacji fiskalnej o rok, by koalicja spokojnie wygrała wybory prezydenckie. Jak wiemy, to się nie udało, więc teraz premier Tusk wraz z Radą Ministrów muszą się mierzyć nie tylko z budżetem, lecz jeszcze z wrogim Pałacem Prezydenckim. Warto jednak przypomnieć, że wbrew narracji koalicji oraz przyjaznych jej mediów Karol Nawrocki nie torpeduje wszystkich działań podatkowych rządu. Pomimo podpisania słynnej „deklaracji toruńskiej", w której zobowiązał się wobec Sławomira Mentzena do wetowania wszystkich projektów podwyższających podatki, podpisał już zarówno ustawę zwiększającą CIT dla sektora bankowego aż do 30 proc. w 2026 r. (stopniowo spadnie do 23 proc. w 2028 r.), jak i podatek od zysków nadzwyczajnych koncernów paliwowych. To ostatnie w drugim podejściu, ale przepisy i tak będą działać wstecz (tj. od marca), więc na jedno wychodzi.

Patrząc na oficjalne dane, można dojść do wniosku, że Warszawa wręcz ostentacyjnie nie spełnia oczekiwań Komisji Europejskiej. Jest jednak traktowana łagodniej z powodu wzmożonych wydatków zbrojeniowych – wojskowe nakłady inwestycyjne, czyli z grubsza zakup nowej broni, mogą zostać pominięte w rozliczeniach z Brukselą. Po odjęciu zakupów sprzętu dla armii, które stanowią około połowy nakładów na obronę (ponad 4,5 proc. PKB w 2027 r.), przyszłoroczny deficyt sektora finansów publicznych wyniósłby nie 7 proc. PKB, lecz ponad 4,7 proc. A to już znacznie bliżej ścieżki wytyczonej przez KE. Również stałe wydatki MON są nad Wisłą większe niż w pozostałych państwach Unii Europejskiej, gdyż Polska jest filarem wschodniej flanki NATO, bez której nie ma bezpieczeństwa państw bałtyckich – należących przecież do obszaru wspólnej waluty, więc utrzymanie ich integralności jest w interesie strefy euro, do której Polska nie należy. Trudno więc Brukseli traktować Warszawę z równą surowością co Lizbonę czy Madryt.

W ożywionej dyskusji na temat kondycji polskich finansów publicznych nieustannie przewija się zasadnicze pytanie – czy Polska stanie się „drugą Grecją"? Najkrótsza odpowiedź brzmi „nie". Sytuacja budżetowa i ekonomiczna Grecji przed kryzysem 2008 r. była zupełnie nieporównywalna.

Według Eurostatu Ateny nieustannie utrzymywały grubo ponad 5-procentowy deficyt budżetowy w latach 1995–2007, momentami dochodząc z nim do niespełna 10 proc. Od 2008 r. był on już wyraźnie dwucyfrowy, gdyż pogłębiła go zapaść gospodarcza. Ateny wchodziły w XXI w. z długiem publicznym wysokości ponad 100 proc. rocznego PKB, a tamtejsza gospodarka była napędzana importem na kredyt. Według danych Banku Grecji bilans płatniczy kraju już w 2003 r. wyniósł -9 proc. PKB. W latach 2006 i 2007 deficyt płatniczy Grecji sięgnął odpowiednio 12 proc. i 16 proc. PKB. Zeszłoroczny bilans płatniczy Polski był niemal zbilansowany (o czym niżej).

Tak zwany cud nad ujściem Dunaju

Bardziej interesujące jest porównanie Polski do Rumunii, która w ostatnich latach zanotowała imponujący skok pod względem PKB na głowę mieszkańca, wyprzedzając m.in. sąsiednie Węgry, co dla Bukaresztu oznacza wyjątkowo prestiżowe zwycięstwo. W latach 2015–2025 Rumunia zwiększyła PKB per capita liczone według parytetu siły nabywczej z 56 proc. do 78 proc. średniej unijnej. Węgry w tym czasie zanotowały tylko lekką korektę w górę – z 70 do 76 proc. Polska natomiast poprawiła swój wynik z 70 proc. do 81 proc., więc również znacznie słabiej od Rumunów.

Porównanie z Bukaresztem jest o tyle zasadne, że Polska i Rumunia są na czele UE pod względem wysokości deficytu budżetowego. Według Eurostatu w 2025 r. nad Dunajem wyniósł on 7,9 proc., a nad Wisłą 7,3 proc. Dalej znalazły się Belgia i Francja, w których lekko przekraczał on 5 proc. PKB. Rumunia spektakularnie zwiększyła również swój dług publiczny. Jeszcze w 2016 r. w Polsce wynosił on 54 proc. PKB, a w Rumunii ledwie 38 proc. Już 10 lat później oba kraje się zrównały na poziomie niespełna 60 proc. PKB, tym samym dobijając do progu kolejnego z kryteriów z Maastricht.

Cud gospodarczy w Rumunii powinno się jednak pisać w cudzysłowie. Był on osiągnięty przez rozwiązania typowe dla rajów podatkowych, a nie zrównoważonych gospodarek. Bukareszt postanowił przyciągnąć nad Dunaj przedsiębiorców, którzy mogą łatwo przenieść swój biznes, czyli głównie różnego rodzaju usługi, samozatrudnioną branżę IT oraz twórców cyfrowych. Tamtejszy rząd w krótkim czasie dokonał całej serii drastycznych cięć podatkowych.

„W latach 2016–2017 zmniejszono m.in. podstawową stawkę VAT (z 24 do 20 proc., a następnie do 19 proc.), zaś w roku 2018 również PIT (jednolitą wysokość podatku 16 proc. zredukowano do 10 proc.). Równocześnie wprowadzono specjalny reżim podatkowy dla mikroprzedsiębiorstw – tj. firm o obrotach nieprzekraczających 1 mln euro rocznie. Od 2016 r. mogły one (zamiast liniowego CIT-u wynoszącego 16 proc.) płacić podatek obrotowy w wysokości 1 lub 3 proc. od deklarowanych przychodów. W tym samym roku obniżono także podatek od dywidend (z 16 do 5 proc.)" – czytamy w publikacji Kamila Całusa „Siedem chudych lat? Rumunia w walce z rekordowym zadłużeniem" na stronie Ośrodka Studiów Wschodnich.

Taka polityka przełożyła się na poprawę sytuacji ekonomicznej, ale głównie na papierze. Realia życia przeciętnego Rumuna w ogóle nie odzwierciedlają skoku tamtejszego PKB. Według Eurostatu w 2024 r. mediana dochodu rozporządzalnego w całej UE liczona według parytetu siły nabywczej wyniosła 21,3 tys. euro rocznie. W Polsce – niespełna 18 tys. euro, czyli 84 proc. średniej unijnej. Znaleźliśmy się na 16. miejscu w UE, między Hiszpanią a Czechami. Nad Wisłą dochody ludności są więc wyższe, niż wynikałoby to z samego poziomu rozwoju gospodarczego (w 2024 r. było to 79 proc. średniej UE), co jest po części efektem relatywnie wysokich wydatków socjalnych, ale w głównej mierze solidnego wzrostu płac całego społeczeństwa w ostatniej dekadzie – szczególnie w dolnej części rozkładu dochodów m.in. dzięki wprowadzeniu minimalnej stawki godzinowej. Mediana dochodu w Rumunii wyniosła natomiast tylko ponad 13 tys. euro rocznie, co wspólnie z Bułgarią dało czwarty najniższy wynik w UE – tylko nad Grecją, Słowacją i ostatnimi Węgrami (ledwie 11,2 tys. euro PPS). Dochody przeciętnych Rumunów stanowią więc tylko ok. 62 proc. średniej UE, a więc znacznie mniej niż wynika-

W 2025 r. wydatki sektora finansów publicznych w Polsce wyniosły 51 proc. PKB. Pod tym względem jesteśmy w ścisłej czołówce Europy – to szóste najwyższe wydatki budżetowe w UE. Polska wyprzedza już słynącą z wysokiego socjalu Szwecję

eprasa.pl b4f9edcde2

łoby to z tamtejszego PKB per capita (w 2024 r. było to 77 proc.).

Poziom nad śmieciowym

Jeśli brać pod uwagę bilans płatniczy, to właśnie Rumunia podąża w kierunku drugiej Grecji. W Polsce w 2025 r. zaliczył on lekki deficyt na poziomie 0,9 proc. PKB (według danych Eurostatu). W Rumunii było to aż 7,9 proc. PKB, czyli zdecydowanie najwięcej w UE. Nominalnie państwo to było na minusie na prawie 30 mld euro, a Polska na 8 mld euro, chociaż to nasz kraj jest dwukrotnie większy. Co więcej, pomimo wzmożonych zakupów uzbrojenia, w wymianie handlowej dóbr Polska zanotowała deficyt rzędu 13,5 mld euro, tymczasem Rumunia aż 32,5 mld euro. Nawet w eksporcie usług, na które postawił Bukareszt, Rumuni wypadli znacznie gorzej od Polaków. Nadwyżka w handlu usługami wyniosła nad Wisłą 39,3 mld euro, a nad ujściem Dunaju 12,6 mld.

W wyniku niezrównoważonego modelu ekonomicznego Rumuni wpadli w spore tarapaty gospodarcze. Od trzech lat zmagali się ze stagnacją, która płynnie przeszła w poważną recesję. W latach 2024 i 2025 wzrost PKB w Rumunii wynosił odpowiednio 0,9 proc. i 0,7 proc. W Polsce 3,2 proc. i 3,6 proc. Według najnowszych danych Eurostatu Bukareszt zmierza w kierunku poważnego kryzysu. Od trzech kwartałów notuje spadek PKB, który w drugim kwartale 2026 r. sięgnął 2 proc. r/r. Żadne inne państwo członkowskie UE nie zaliczyło w tym okresie spadku PKB. W Polsce wystąpił wzrost rzędu 3,7 proc. – trzeci najwyższy w UE po Słowenii (4,8 proc.) i Litwie (3,8 proc.).

Recesja w Rumunii to skutek zaciskania pasa, które zaordynował tamtejszy rząd, podwyższając podatki i likwidując ulgi. Stawka VAT wzrosła z 19 do 21 proc., a podatek od dywidend z 5 do 16 proc., czyli aż trzykrotnie. Bukareszt zlikwidował również ulgi dla pracowników IT, którzy zostali obciążeni standardową stawką PIT w wysokości 10 proc. To wszystko doprowadziło do odpływu kapitału skuszonego wcześniej preferencyjnym traktowaniem oraz do skoku inflacji – w maju ceny rosły w tempie 11 proc. r/r (w sierpniu wyhamowały do 6 proc.).

Nic więc dziwnego, że rating kredytowy Bukaresztu według Moody's to Baa3, czyli jeden stopień nad tzw. śmieciowym. Rumunia może zresztą niebawem go osiągnąć, gdyż jej perspektywa według nowojorskich analityków jest negatywna. Mimo na oko bardzo podobnej sytuacji fiskalnej Rumuni znaleźli się w prawdziwych tarapatach, natomiast Polska przechodzi perturbacje budżetowe, nie tracąc jednak przy tym zaufania rynków oraz inwestorów.

„Decyzja Moody's stanowi sygnał ostrzegawczy, zarówno dla polityków, jak i opinii publicznej. [...] Mimo to gospodarka oferuje imponujący potencjał wzrostu, co wyraźnie ilustruje zachowanie inwestorów zagranicznych, którzy zazwyczaj podchodzą szczególnie krytycznie do fundamentów ekonomicznych. Ich udział w obrotach na polskim rynku akcji stale rośnie i przekroczył już 70 proc. Jednocześnie ich zaangażowanie na rynku polskich obligacji skarbowych maleje. Inwestorzy zagraniczni posiadają obecnie jedynie około 12 proc. polskiego długu publicznego, co stanowi najniższy odsetek w Europie Środkowo-Wschodniej" – napisali Rafał Benecki i Mateusz Sutowicz w analizie dla banku ING „Moody's downgrades Poland's rating amid lack of fiscal consolidation".

Wydatki vs. podatki

Warszawa nie może jednak spać spokojnie. Przyszłe potrzeby wydatkowe się nawarstwiają. Dzięki programowi SAFE część nakładów na zbrojenia trzeba będzie zacząć spłacać dopiero za 10 lat, ale tak czy inaczej będzie to dług, i to w obcej walucie (w euro), chociaż na szczęście mocno skorelowanej z kursem złotego. Poza tym można mieć nadzieję, że program wesprze rozwój technologii, które przenikną do gospodarki cywilnej.

Polityka fiskalna Warszawy musi się jednak zmienić. W 2025 r. wydatki sektora finansów publicznych wyniosły już 51 proc. PKB. To szóste najwyższe wydatki budżetowe w UE. Polska wyprzedza już słynące z wysokiego socjalu Szwecję (50 proc. PKB) czy Danię (48 proc.). Średnia UE to 49,5 proc. Tymczasem pod względem dochodów budżetowych Polska znajduje się dopiero na 15. miejscu w UE z wynikiem 43,6 proc. PKB. Średnia unijna to 46,4 proc., nie mówiąc już o Danii (51 proc.) czy Szwecji (48,5 proc.).

Taka sytuacja na dłuższą metę jest nie do utrzymania. Wysokie wydatki budżetowe wymagają odpowiednich danin publicznych. Opodatkowanie nadmiarowych zysków koncernów paliwowych przyniesie do budżetu ok. 4 mld zł, problem w tym, że podobne pieniądze pochłonie przedłużenie do końca roku programu CPN. Reforma w PIT autorstwa ministra finansów, która wprowadzi dodatkową stawkę 24 proc. i ograniczy możliwość korzystania z ryczałtu od przychodów ewidencjonowanych, zapewni dodatkowe 2,6 mld zł, ale większość (ponad 2 mld) trafi do NFZ. Tymczasem budżet państwa również łaknie gotówki jak kania dżdżu, a nie wiadomo, czy prezydent podpisze te zmiany. Politycy boją się oznajmić zamożniejszej części społeczeństwa, że będzie musiała zapłacić więcej, bo ma więcej do stracenia w razie wrogich działań zbrojnych lub hybrydowych. Wciąż pokutuje przekonanie, że wyższe podatki skłonią zamożnych Polaków do zmiany rezydencji podatkowej. Tylko że Polska to nie Rumunia – nasze biznesy oparte są na aktywach trwałych (budynkach, budowlach, maszynach produkcyjnych itd.), sieciach kooperantów, tutejszej infrastrukturze oraz klientach, których zwyczajnie nie da się przenieść. ©℗

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

PROMOCJA

eprasa.pl b4f9edcde2

Twórca w cieniu algorytmów

Szybki rozwój generatywnych modeli stawia sektor kreatywny przed wyzwaniami prawnymi, ekonomicznymi i etycznymi. O konsekwencjach oraz przyszłości kultury i twórców rozmawiali uczestnicy dyskusji w redakcji DGP.

Punktem wyjścia do debaty „Twórca wobec sztucznej inteligencji. Jak AI zmienia zasady rynku kreatywnego?" była odpowiedź na pytanie, czy sztuczna inteligencja stanowi dla twórców wsparcie, czy bezpośrednią konkurencję. Zofia Domaradzka, kompozytorka muzyki do gier wideo i mediów, zauważyła, że rynek technologiczny w pierwszej kolejności promuje rozwiązania najbardziej widowiskowe.

– Wydaje mi się, że to jest coś, czym najłatwiej zaimponować inwestorom, bardziej niż np. zaprezentowaniem narzędzia, które usprawnia workflow kompozytorom – oceniła, wskazując na aplikacje generujące całe utwory na podstawie pojedynczego promptu.

Wyraziła jednak nadzieję, że z czasem uwaga przeniesie się na programy wspomagające twórców w powtarzalnych zadaniach bez ingerencji w myśl twórczą.

Do tej opinii przychylił się dr hab. Rafał Kasprzak, profesor Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, wskazując, że obecne systemy generatywne nie są w stanie w pełni zastąpić ludzkiej wyobraźni.

– Domniemywam, że będziemy mieć do czynienia ze zjawiskiem takim jak twórca symbiotyczny, który użyje tej technologii do nudnych, czasochłonnych i żmudnych rzeczy – dodał.

Niskie bariery wejścia to niższe ceny

Uczestnicy dyskusji poruszyli temat realiów ekonomicznych. Zwrócili uwagę na problem karmienia modeli dorobkiem artystów, którzy nie czerpią z tego tytułu zysków, a jednocześnie borykają się z malejącym popytem na swoje usługi. W branżach kreatywnych od zawsze panuje asymetria, wielu drobnych twórców ledwo utrzymuje się na powierzchni, inaczej niż nieliczne jednostki wybitne. Wprowadzenie AI ten stan rzeczy dodatkowo komplikuje.

Profesor Kasprzak zauważył, że przełom technologiczny oznacza drastyczne obniżenie barier wejścia.

– Kiedyś tworzenie było zarezerwowane dla osób z iskrą bożą. Dzisiaj może być ona subsydiowana dobrze napisanym promptem. Skoro rozszerzy się dostęp, nastąpi typowa reakcja rynku, czyli spadnie cena produktu. Potencjalni autorzy mogą zarabiać jeszcze mniej, bo konsument nie będzie gotowy zapłacić wysokiej marży za coś, co może sobie sam zapromptować – wskazał.

Maciej Janik, adwokat Stowarzyszenia Autorów ZAIKS, zwrócił uwagę na problem definiowania sukcesu rynkowego. Osoby zarabiające najwięcej niekoniecznie reprezentują najwyższą wartość artystyczną.

– Bardzo często ci, którzy z trudem wiążą koniec z końcem, dostarczają element innowacyjny. Wielu uznawanych dziś poetów umierało w przytułkach. Najlepsi komercyjnie najchętniej korzystają z repetytywnych możliwości AI, podczas gdy twórcy artystycznie interesujący stają przed dylematem – opisywał.

Zaznaczył, że nie każdy wytwór jest utworem w rozumieniu prawa autorskiego.

– To pojęcie zarezerwowane dla człowieka. To, co wytworzy on za pomocą AI, może być sztuką, prowokować do myślenia, ale nie będzie utworem podlegającym ochronie, jeśli zabraknie kontroli twórczej. Jeżeli traktujemy AI jak pędzel i panujemy nad procesem, ochrona może przysługiwać. Jeśli tylko zlecamy generatorowi zrobienie kołysanki za pomocą słownej instrukcji, powstały materiał utworem nie jest – wytłumaczył.

Kluczowa kwestia zgody

W debacie mówiono o podstawach, na których zbudowano potęgę największych platform.

– Firmy technologiczne bazują na pewnego rodzaju przemocy ekonomicznej. Grzech pierworodny sztucznej inteligencji polega na tym, że została wykarmiona na cudzej twórczości i jest wynikiem kradzieży. To z nią pozostanie, chyba że deweloperzy przyjdą po licencje – zaznaczył Maciej Janik.

Odniósł się także do pytania o roszczenia finansowe, wyjaśniając, że organizacje zbiorowego zarządzania prawami autorskimi nie dążą obecnie do ustanowienia prostych opłat kompensacyjnych.

– Wprowadzenie prawa do wynagrodzenia bywa formą kompromisu sankcjonującą wcześniejsze naruszenia. My chcemy uznania zasady, że trenowanie modeli wymagało uprzedniej zgody autorów – powiedział.

Zofia Domaradzka przytoczyła casus firmy Suno, która pod presją wytwórni wycofała starsze rozwiąza-

AI szuka tanich rozwiązań kosztem ludzi

Odbiorcy poszukują kontaktu z wytworami prawdziwego człowieka, bo sztuka pozostaje dla nas nośnikiem ludzkich emocji i uniwersalnych wartości. Produkt generowany maszynowo bywa instynktownie traktowany jak oszustwo – mówi Maciej Janik, adwokat Stowarzyszenia Autorów ZAiKS.

FOT. BORYS SKRZYŃSKI

Nowe technologie wkraczają w obszar kultury i sztuki niezwykle dynamicznie. Czy praca twórcza staje się dzięki nim szybsza i bardziej efektowna, czy też w przypadku wielu autorów pojawia się wręcz pytanie o przetrwanie? Jak pan ocenia ten bilans?

Wszystkie dostrzegalne korzyści, takie jak: przyspieszenie procesów, brak konieczności angażowania licznych zespołów do projektów wstępnych czy łatwiejsza produkcja efektów specjalnych, mają drugą stronę medalu. Uproszczenia umożliwiające realizację projektów mniejszym kosztem nieodłącznie wiążą się z tym, że ktoś na tym traci. Jeżeli zaawansowany system potrafi w ułamku sekundy nagrać symfonię bez udziału orkiestry, to muzycy nie otrzymają wynagrodzenia, gdyż zastąpi ich algorytm.

Systemy takie są tańsze, ponieważ eliminują koszty pracy ludzkiej. Ułatwiając tworzenie i otwierając sferę kreatywną dla osób bez zaplecza finansowego, jednocześnie odbierają zajęcie tym, którzy dotąd wykonywali niezbędne zadania cząstkowe. Tracą storyboardziści, twórcy wstępnych animacji czy autorzy szkiców w branży filmowej i muzycznej. Oczywiście jako ZAiKS dostrzegamy, że pojedyncze narzędzia pomagają artystom, wyręczając ich w powtarzalnej pracy manualnej, pozbawionej pierwiastka twórczego. Nie możemy jednak ignorować mechanizmu gospodarczego zwanego efektem zastąpienia. AI funkcjonuje w realiach kapitalizmu szukającego redukcji wydatków. W tej rynkowej logice rozwiązania mniej kosztowe oznaczają eliminację ludzi. Jeśli zrezygnujemy z tłumaczy przygotowujących napisy, to ucierpi cała grupa zawodowa. Przy darwinowskim podejściu do gospodarki można twierdzić, że przetrwają jedynie najlepsi, lecz nasze społeczeństwo opiera się na usługach o zróżnicowanym poziomie kompetencji. Czy rzeczywiście chcemy wykasować całą sferę pośrednią w imię czystego rozwoju technicznego?

Czy te zjawiska już dziś przekładają się na rynek pracy, skutkując zauważalnymi redukcjami etatów?

Głośne informacje o zwolnieniach dotyczyły dotychczas w najbardziej widoczny sposób branżę gier wideo. W przemyśle filmowym otwarte po-

AI DAYS CYFROWA GOSPODARKA 2026
PARTNERZY: Poczta Polska zaiks sprzyjamy wyobraźni
PATRONAT HONOROWY: KIGEiT KRAJOWA IZBA GOSPODARCZA ELEKTRONIKI I TELEKOMUNIKACJI

eprasa.pl b4f9edcde2

FOT. BORYS SKRZYŃSKI

nia i wydała nowy model, trenowany na materiałach licencjonowanych. Jak jednak zauważyła, ten model trenował również na utworach z poprzednich wersji, a więc pośrednio znowu bazował na muzyce pozyskanej bezprawnie.

Maciej Janik dodał, że porozumienia wielkich wytwórni z platformami technologicznymi przypominają historię serwisów streamingowych, kiedy to obiecywano demokratyzację i wyeliminowanie pośredników, a ostatecznie to koncerny czerpią główne zyski, podczas gdy twórcy otrzymują głodowe stawki.

Uczestnicy dyskusji opowiedzieli o słabych stronach procedury opt-out, czyli formalnego zastrzeżenia praw przeciwko eksploracji tekstów i danych. Zofia Domaradzka wskazała, że artyści oddający dzieła wytwórniom nie wiedzieli, iż oznacza to zgodę na trening AI.

– Wrzucając prywatne filmy na wiodącą platformę wideo, domyślnie godzimy się na trenowanie modeli – zauważyła.

Profesor Kasprzak określił to mianem paradoksu siły negocjacyjnej – drobny twórca musi się dostosować, bo brak zgody oznacza funkcjonowanie poza rynkiem.

Maciej Janik przyznał, że mechanizm opt-out opiera się na przepisach tworzonych w innej epoce, lecz jego stosowanie jest koniecznym krokiem strategicznym.

– ZAiKS złożył takie zastrzeżenie w imieniu reprezentowanych twórców. Gdybyśmy tego nie zrobili, firmy technologiczne natychmiast zasłoniłyby się wyjątkiem prawnym – dodał.

Poinformował również, że resort kultury nie planuje obecnie przełomowych kroków legislacyjnych w prawie autorskim, oczekując na rozstrzygnięcia Komisji Europejskiej dokonującej przeglądu dyrektywy DSM po rezolucji Parlamentu Europejskiego.

Rynkowe straty i perspektywy

W debacie padły konkretne szacunki dotyczące strat sektora kreatywnego. Maciej Janik powołał się m.in. na analizy Międzynarodowej Konfederacji Stowarzyszeń Autorów i Kompozytorów CISAC, z których wynika, że do 2028 r. branże nieaudiowizualne mogą stracić ponad 20 proc. przychodów, a w przypadku tłumaczy czy autorów muzyki tła spadki przekroczą 50 proc.

Zofia Domaradzka uzupełniła ten obraz danymi ze streamingu. Jak dodała, do 40 proc. uploadów kierowanych na platformy muzyczne stanowiły utwory stworzone przez AI, a boty sztucznej inteligencji sztucznie nabijały im odtworzenia, generując zyski kosztem prawdziwych artystów.

Uczestnicy dyskusji ocenili również mechanizmy znakowania treści. Zofia Domaradzka uznała oznaczanie za szansę na świadomy wybór konsumentów, podając przykład platformy Steam, na której gry oznaczone jako wykorzystujące AI notują niższe zasięgi. Profesor Rafał Kasprzak podszedł do tej kwestii sceptycznie. Przedstawiciel świata nauki ocenił, że big techy wdrożą znaki wodne głównie po to, by chronić własne wygenerowane zasoby przed zawłaszczeniem przez ludzi. Przedstawiciel ZAiKS przypomniał z kolei, że znakowanie projektowano przede wszystkim jako barierę przeciw dezinformacji i deepfake'om politycznym, a nie jako tarczę dla artystów.

Co dalej? Profesor Rafał Kasprzak porównał obecny boom do dawnych obaw przed drukiem, radiem czy internetem.

– Jesteśmy w fazie przypływu, po którym przyjdzie odpływ i znużenie syntetycznymi treściami. Rynek się ustabilizuje, choć regulator musi wesprzeć słabszych uczestników – spuentował. PAO

zbywanie się twórców wywołałoby natychmiastowy kryzys wizerunkowy, dlatego tam redukcje przebiegają dyskretniej. Spadki zatrudnienia obserwujemy też w typowych pracach biurowych i consultingu. Pojawiają się głosy, że w zamian powstaną nowe miejsca pracy przy obsłudze modeli sztucznej inteligencji, jednak czy zrekompensują one straty w sektorze kreatywnym, gdy przestaniemy potrzebować np. kompozytorów muzyki do reklam, czy tłumaczy audiowizualnych?

Pamiętajmy jednak, że nie każdy twórca jest artystą tworzącym sztukę wysoką. Wielu wykonuje zawody użytkowe, komponując chociażby muzykę tła do supermarketów. Choć nie jest to dzieło wybitne, to pełniło swoją funkcję i dawało utrzymanie. Teraz maszyna generuje 1 tys. takich utworów dziennie na zadowalającym poziomie użytkowym. Możliwości przebranżowienia wewnątrz sektora są ograniczone pojemnością rynku. Nawet jeśli twórca nabędzie nowe umiejętności, ale zechce pozostać w sferze kreatywnej, to może zwyczajnie nie znaleźć nabywców na swoje usługi.

Prowadzenie miarodajnych badań jest trudne, bo technologia rozwija się w zawrotnym tempie. To, co ogólnodostępne modele oferują dzisiaj, dzieli od ich możliwości sprzed roku dystans lat świetlnych. Obecnie można wygenerować animację lub film bez udziału aktorów za ułamek dawnych kosztów, wydając na to np. 500 dol. Niewyrobiony odbiorca niechybnie uzna wygenerowany materiał za autentyczne nagranie z udziałem żywych ludzi.

Obecna faza wiąże się z ogromną niepewnością, ponieważ nikt nie potrafi przewidzieć ostatecznego kierunku zmian. Widzimy już wyraźną niechęć konsumentów do zalewu syntetycznych treści. Odbiorcy poszukują kontaktu z wytworami prawdziwego człowieka, bo sztuka pozostaje dla nas nośnikiem ludzkich emocji i uniwersalnych wartości. Produkt generowany maszynowo bywa instynktownie traktowany jak oszustwo.

Czy grozi nam przesilenie, w którym ludzka twórczość stanie się towarem luksusowym, dostępnym dla nielicznych?

Pojawia się pytanie, czy chcemy, aby sztuka stała się kawiorem wyłącznie dla elit, czy też zależy nam na jej powszechnej dostępności? Jeśli kultura stanie się sferą wyłącznie dla wybranych i zdesperowanych, to nikt nie zdecyduje się na wejście na tę drogę zawodową. Mit głodującego artysty jest szkodliwy, twórczość nie musi się wiązać z nędzą, by zachować autentyczność. Stowarzyszenie Autorów ZAiKS stoi na stanowisku, że eksploatacja dzieł wymaga sprawiedliwego wynagrodzenia, aby kolejne pokolenia chciały się profesjonalnie zajmować kreacją. Przy nierównej konkurencji z maszynami chętnych do kontynuowania tradycji twórczych drastycznie ubędzie. Oznacza to mniej unikalnych punktów widzenia i uboższą debatę publiczną, co w rezultacie zuboży całe społeczeństwo.

W obliczu tej rewolucji twórcy są dziś bezbronni?

W pewnym sensie bezbronni jesteśmy wszyscy. Przechodzimy przez okres przejściowy, porównywany przez wielu do odkrycia ognia. Instytucje społeczne, rynkowe i prawne siłą rzeczy reagują z pewnym opóźnieniem. Kiedy debiutował ChatGPT, ryzyka były powszechnie bagatelizowane. Dziś instytucje unijne zmuszone są do ponownej weryfikacji, czy ramy prawa autorskiego wystarczająco chronią twórców. Trzeba jednak pamiętać o szerszym tle, bo tkwimy wewnątrz globalnego wyścigu technologicznego. Obawa przed pozostaniem w tyle sprawia, że kwestie socjalne bywają spychane na dalszy plan. Widzę jednak światełko w tunelu. Ochrona miejsc pracy i praw człowieka zyskuje coraz większy rozgłos, a znużenie odbiorców powtarzalnym syntetycznym slopem dowodzi, że autentyczna ludzka ekspresja ma wartość, której maszyna nie potrafi odtworzyć. PAO

Komisja Europejska
NCBR Narodowe Centrum Badań i Rozwoju
ROZMOWY I DEBATY MOŻNA OBEJRZEĆ NA
CYFROWA-GOSPODARKA.GAZETAPRAWNA.PL

eprasa.pl b4f9edcde2

Świat

Biały Dom trzyma kciuki

Brazylia to jeden z nielicznych już krajów kontynentu, którym nie rządzi naśladowca Donalda Trumpa. Lada chwila może się to zmienić

Mariusz

Janik

– Jedyne, co stoi dziś na przeszkodzie, by Brazylia stoczyła się w stronę barbarzyństwa, to Flávio Bolsonaro jako prezydent – ogłosił... Flávio Bolsonaro, syn Jaira, byłego prezydenta oskarżonego o próbę zamachu stanu, podczas wtorkowego wiecu w położonej nieopodal stolicy kraju miejscowości Goiânia. Triumf w niedzielnej I turze wyborów najwyraźniej go ośmielił. W wystąpieniu pojawił się scenariusz, w którym prawica bierze wszystko – prezydenturę, a potem, ze względu na większość w brazylijskim Kongresie, konstytucję. – Redemokratyzujemy ten kraj – wykrzyczał Bolsonaro.

„To jest komunikat o zamachu stanu" – zagrzmiała lewicowa deputowana Kongresu Talíria Petrone na portalu X. „To przemycanie autorytarnego programu politycznego pod płaszczykiem akceptowalnego języka" – dowodził politolog Celso Rocha de Barros. Według niego Bolsonaro junior różni się od ojca tym, że senior był bliższy „staromodnych buntów w koszarach", a Flávio woli rozmontowywanie demokracji od środka, poprzez osłabianie i zagarnianie instytucji państwa. „Nie musisz wtedy łamać żadnych praw, by osiągnąć autorytarny status, bo sam stajesz się prawem" – skwitował Rocha de Barros. „Jeżeli Flávio Bolsonaro zostanie wybrany, będzie mieć do dyspozycji znacznie więcej narzędzi, by realizować autorytarny projekt swojego ojca: silne partyjne reprezentacje w obu izbach parlamentu, osłabiony sąd najwyższy i wsparcie administracji Donalda Trumpa. (...) W drugiej kadencji autokraci zwiększają skalę i tempo realizacji swoich planów, spójrzmy na Donalda Trumpa. (W przypadku Bolsonaro – red.) ryzyko nie polega zatem na tym, że syn powtórzy czyny ojca, ale na tym, że dalece go pod wieloma względami przewyższy" – opisywała z kolei znana brazylijska komentatorka Miriam Leitão.

– Przestańcie kłamać. Zejdźcie do realnego świata – ripostował zwycięzca I tury. – Brazylia musi wrócić do normalności, to wszystko – uciął.

Brazylia jest spolaryzowana. Na 45-letniego Bolsonaro zagłosowało 47,03 proc. wyborców, co przekłada się na 56 mln głosów z lekkim okładem, a na 80-letniego Luiza Inácia Lulę da Silvę – 45,16 proc., czyli niemal 54 mln wyborców. W ciągu najbliższych dwóch tygodni bój będzie się zatem toczył o zwolenników drugorzędnych kandydatów, z których żaden nie przekroczył progu 3 proc. poparcia, ale wspólnie zebrali ok. 9 mln głosów. Można by analizować poglądy tych politycznych płotek, ale II tura i tak prawdopodobnie będzie plebiscytem, za którym rodzajem „redemo-

Miasto Brasília wieczorem po I turze wyborów prezydenckich w Brazylii. 4 października 2026 r.

eprasa.pl b4f9edcde2

kratyzacji" opowiada się dany wyborca – niezależnie od tego, jak głosował w I turze. Może taki lapidarny podział sprawi, że Lula odzyska impet? U progu lata miał w sondażach kilkuprocentową przewagę nad młodszym rywalem, a wiosną przekraczała ona nawet 10 proc.

Lula, związkowiec i jeden z twórców Partii Robotniczej, ubiegał się o prezydenturę w latach 1989, 1994 i 1998 i za każdym razem musiał się obejść smakiem. Odbił sobie to w latach 2002 i 2006. Przeżywał wtedy apogeum popularności, a Brazylia pod jego rządami szybko się rozwijała. Gdyby mógł wówczas walczyć o trzecią kadencję, wygrałby w cuglach. Gabinet jego sukcesorki Dilmy Rousseff zasypała lawina sporów i skandali. Ostatecznie ugrzązł w błocie politycznej i administracyjnej nieporadności. To utorowało drogę do władzy Jairowi Bolsonaro, a ten szybko zadbał o to, by oskarżenia o korupcję dosięgnęły wciąż popularnego poprzednika. W 2018 r. sąd zablokował kandydaturę Luli do prezydentury, a dopuszczony do wyborów w 2022 r. wygrał je z najniższą przewagą w historii brazylijskich elekcji prezydenckich (2 proc.). Dziś gra toczy się o powtórzenie tego scenariusza. – Przyznaję, że byłem przekonany, że wygram w I rundzie, ale gra dopiero się zaczyna – przyznał jeszcze w niedzielę. – Dostaliśmy dodatkowy czas i w tym czasie zjednamy sobie Brazylijczyków – odgrażał się. Nie będzie to jednak proste.

FOT. VINICIUS SANTA ROSA/EFE/EPA/PAP

Tu jest ambasada

Stary latynoski dowcip brzmi mniej więcej tak: „Dlaczego w Stanach Zjednoczonych nigdy nie było przewrotu wojskowego? Bo w Waszyngtonie nie ma ambasady USA". To na tym Lula opierał w dużej mierze swoją kampanię, podkreślając suwerenność Brazylii w obliczu ofensywy USA na kontynencie. Tyle że ten resentyment nie ma już dziś w Brazylii takiej siły jak kiedyś.

W całej Ameryce Łacińskiej wygrywają kolejni lokalni naśladowcy stylu Donalda Trumpa, zwolennicy rządów silnej ręki, budowania megawięzień i siłowego przywracania „prawa i porządku". A w roli szeryfa Flávio Bolsonaro wypada bardziej wiarygodnie, bo jeszcze szeryfem nie był, więc może pozować na męża opatrznościowego. Zapowiadane rządy silnej ręki dają też nadzieję, że będzie on młotem na gangsterów i łapówkarzy. Wreszcie zdołał już wyprosić w Waszyngtonie wpisanie dwóch największych gangów z Brazylii na listę ugrupowań terrorystycznych i zapowiada włączenie Amerykanów do walki ze zorganizowaną przestępczością. Gangi nie urosły wprawdzie w ostatnich latach spektakularnie w siłę, ale mieszkańców miast nęka plaga pospolitej przestępczości – kieszonkowców, złodziei telefonów czy rowerów. Odczuwalna bardziej niż gangsterka na wielką skalę przekłada się na spadek codziennego poczucia bezpieczeństwa. Do tego drobni przestępcy wywodzą się przeważnie spośród mieszkańców slumsów, a więc adresatów programów pomocowych uruchamianych przez Lulę i w trakcie dwóch pierwszych kadencji, i w tej ostatniej. Wniosek: „oni nas okradają, a on im jeszcze płaci".

Rynkowi się spodobało

Rzeczywistość jest nieco bardziej skomplikowana. Boom gospodarczy z epoki pierwszych kadencji Luli był zasługą rosnących światowych cen paliw i surowców, co bogatemu w te zasoby państwu mogło posłużyć – i posłużyło – do uruchomienia szeroko zakrojonych programów socjalnych. Z jednej strony budziło to niechęć ówczesnych elit, z drugiej – pozwoliło wyjść ze skrajnego ubóstwa wielu tysiącom Brazylijczyków, spośród których – jak na ironię – wielu dziś obawia się utraty uzyskanej stabilności finansowej i może przychylnym okiem patrzeć na prawicę. Tym bardziej że kolejne rządy – pomimo znacznie już gorszej koniunktury na świecie – wcale oszczędzać nie zamierzały, co dotyczy również ostatnich lat.

Nic zatem dziwnego, że rynki zareagowały na wyniki niedzielnych wyborów euforią. „Brazylijski real umocnił się o 4,2 proc. wobec dolara, a główny indeks giełdowy kraju skoczył o 8 proc., blisko rekordowego poziomu" – odnotował na początku tygodnia „Financial Times". – Fiskalna wiarygodność ma znaczenie, bo Brazylia ma olbrzymie deficyty, dług publiczny nieustannie rośnie, a stopy procentowe pozostają wysokie – komentował w rozmowie z dziennikiem Chris Kushlis, ekonomista z agencji T. Rowe Price. – Ale też żaden kandydat nie ma na tym polu wolnej ręki, biorąc pod uwagę, że reformę fiskalną trzeba byłoby przeforsować w kongresie – dorzucił.

W oczywisty sposób kartą tą gra Bolsonaro, wiążąc kwestie gospodarcze z konstytucyjnymi. – Jest kilka możliwych poprawek, które można by w tym zakresie wprowadzić do konstytucji – zapewnił w środę. Czy oznacza to odwrócenie systemu podatkowego, który przeforsowała w 2023 r. administracja Luli? Zapewne tak. – Popieram modernizację naszego systemu podatkowego, który jest, ogólnie rzecz biorąc, zbyt skomplikowany – skwitował zwycięzca I tury.

Oczywiście niemałe znaczenie ma „przełożenie" Bolsonaro na Biały Dom. Administracja Donalda Trumpa nie kryje swojej niechęci do Luli. Zaaplikowała Brazylii wysokie cła, które dodatkowo podduszają jej gospodarkę. Można zakładać, że w prezencie dla swojego protegowanego Waszyngton obniżyłby ich poziom. Podobnie jak można się spodziewać, że za rządów Bolsonaro juniora wycinka Amazonii ponownie ruszy pełną parą, jak w okresie prezydentury jego ojca, a koncerny paliwowe ponownie przystąpią do wierceń w poszukiwaniu nowych złóż surowców kopalnych.

Nie ma też żadnej wątpliwości, że wraz z dojściem do władzy juniora wolność odzyska senior (który i tak w ostatnim czasie wyrok 27 lat więzienia odsiaduje w areszcie domowym ze względów zdrowotnych). – Oddajemy honory prezydentowi Bolsonaro (Jairowi – red.), uwolnimy go – zapowiedziała Bia Kicis, świeżo wybrana senatorka z ramienia Partii Liberalnej. – Zagłosujemy za amnestią i wyciągnięciem zza krat więźniów politycznych – zadeklarowała.

Nie przypadkiem Jair Bolsonaro szybko dorobił się pseudonimu Trump Tropików. Posługiwał się podobnym językiem – politycznej przeciwniczce rzucił, że jest „zbyt brzydka, by ją zgwałcić". Kwestie LGBT kwitował frazami typu „nie byłbym w stanie kochać syna geja, wolałbym, żeby zginął w wypadku" („Playboy", 2011 r.) albo „żaden ojciec nigdy nie był dumny z syna geja" (BBC, 2013 r.). Nie szczędził pochwał niegdysiejszym wojskowym przywódcom Brazylii (i innych krajów kontynentu), a na koniec – po przegranych wyborach z 2022 r. – zachęcił swoich zwolenników (i naciskał na dawnych kolegów w mundurach), żeby uniemożliwili Luli objęcie stanowiska. To ostatnie zaważyło na wspomnianym 27-letnim wyroku więzienia.

Ale dzięki temu też Flávio Bolsonaro właściwie nie musi się nikomu przedstawiać – to nie jest historia Marine Le Pen czy Justina Trudeau, którzy polityczne brzemię ojców zrzucali czy modyfikowali. Tu junior to bezpośrednie przedłużenie seniora. Dzięki temu nawet kiedy mówi oględnie, jego elektorat wie, co może mieć na myśli. W polityce zadebiutował w 2002 r. jako radny Rio de Janeiro. Jak twierdzi Juliana Dal Piva, autorka politycznej biografii familii byłego prezydenta, ojciec i syn budowali pozycję rodziny na schemacie znanym jako rachadinha – deputowany zatrudnia figurantów, którzy w zamian za posadę oddają „dobrodziejowi" 80–90 proc. swoich poborów. Wszyscy są zadowoleni: jedni dostają parę groszy za nicnierobienie, drudzy budują potęgę rodu.

Największa z afer, które miały w kampanii wyborczej obciążyć konto obu panów Bolsonaro, spaliła na panewce. Portal Intercept Brasil udostępnił wiosną nagranie rozmowy Flávia z niejakim Danielem Vorcaro, byłym bankierem, który wymyślił i wdrożył największy przekręt finansowy w historii Brazylii – schemat sprowadzający się do mnożenia rozmaitych papierów wartościowych i wyprowadzania pieniędzy z Banco Master. Bolsonaro junior, w czasie, gdy rola Vorcaro w przekręcie nie ulegała wątpliwości, zwrócił się do aferzysty z prośbą o wyłożenie niemal 27 mln dol. na filmową adaptację biografii seniora. W roli Jaira miałby wystąpić Jim Cavieziel, w ostatnich latach gwiazda dzieł, które uwielbia amerykańska alt-prawica. Najważniejsze było to, że nagranie jasno pokazuje, jak blisko są obaj rozmówcy. Flávio zwraca się do Daniela per „bracie". Jest też jasne, że za przysługę trzeba się będzie kiedyś odwdzięczyć. W jaki sposób, można się domyślać.

Paradoksalnie, skandal, który w maju i czerwcu zachwiał notowaniami Bolsonaro – to wtedy różnica poparcia między kandydatami urosła do 10 proc. – w kolejnych tygodniach zaczął dosięgać również Lulę. Stało się to pośrednio, tak samo jak zresztą odium rządów Dilmy Rousseff obciążyło jej wcześniejszego mentora. Otóż Vorcaro miał też kontaktować się z sędzią sądu najwyższego Alexandrem de Moraesem, prosząc o pomoc przy uniknięciu aresztu. Co prawda Moraes niczego w tym celu nie zrobił (lub nie zdołał zrobić), ale powszechnie uznano, że oszust ma też przyjaciół w obozie Luli. Moraes bowiem jest kojarzony z obecnym prezydentem, choć nie zawdzięcza mu swojego stanowiska. I tak oto skandal zatoczył koło.

Globalna gra

Wyborczy werdykt Brazylijczyków przestawia też figury na globalnej szachownicy. Biały Dom nie pozostawia wątpliwości, komu będzie kibicować. – Było blisko bardzo, ale to bardzo wielkie zwycięstwo. W zasadzie cudowne – skwitował Trump w ostatni poniedziałek, po podaniu pierwszych wyników głosowania w Brazylii (wcześniej poparcie dla familii Bolsonaro demonstrowano w Waszyngtonie dyskretniej – nie szczędząc zgryźliwości Luli i nazywając wyrok na „Trumpa Tropików" polowaniem na czarownice). To zrozumiałe, skoro Brazylia może stać się perłą w koronie luźnej koalicji naśladowców i sympatyków Trumpa w Ameryce Łacińskiej.

W Europie jest przeciwnie. Jak zauważa portal Politico, Bruksela włożyła wiele wysiłku, by zbudować relacje z Brazylią. Administracja Luli jest jednym ze strażników porozumień handlowych podpisanych z Mercosurem i teraz unijni decydenci zaczynają się obawiać, że zmiana na fotelu prezydenta doprowadzi do ich zerwania. – Potrzebujemy reelekcji Luli, żeby w przyszłym roku porozumienie z Mercosurem zostało ratyfikowane – mówił w rozmowie z portalem John Clarke, były negocjator z ramienia Komisji Europejskiej. – Jeśli Bolsonaro zostanie wybrany, odwróci też wszystkie decyzje dotyczące ochrony środowiska naturalnego. Przyzwoli na wycinki i rozkopywanie lasów deszczowych. Przyzwoli na inwazję na terytoria rdzennych ludów – wyliczał. I w tym przypadku widać zatem, jak drogi Ameryki i Europy się rozchodzą. ©℗

eprasa.pl b4f9edcde2

FOT. ALON SKUY/GETTY IMAGES

Ośrodek Detencyjny Krome prowadzony przez Urząd ds. Imigracji i Ceł (U.S. Immigration and Customs Enforcement, ICE). Miami (Floryda), 4 lipca 2025 r.

Niewolnicy ICE

Prywatne firmy więzienne już zarobiły dziesiątki milionów dolarów na polityce imigracyjnej zarządzonej przez Donalda Trumpa. Sam prezydent też zarabia, bo posiada akcje tych spółek

Eliza

Sarnacka-Mahoney

korespondencja z USA

„«Gorzej niż w więzieniu»: zgłoszenia na numer alarmowy 911 ujawniają problemy w największym ośrodku detencyjnym" (AP, marzec 2026 r.); „Imigranci składają pozew w związku ze skandalicznymi warunkami w ośrodkach detencyjnych" (NPR, maj 2026 r.); „«To tak, jakby ich porwano»: rodziny opowiadają o rozpaczy z powodu nieludzkich warunków w więzieniu ICE" („The Guardian USA", czerwiec 2026 r.); „Oburzające okrucieństwo w ośrodku detencyjnym Delaney Hall wymaga pociągnięcia winnych do odpowiedzialności" („The Washington Post", czerwiec 2026 r.); „Apel kobiety prosto z piekła detencji" („The Nation", sierpień 2026).

Od wiosny takie nagłówki pojawiają się w amerykańskich mediach coraz częściej. Szokują, przerażają, spotykają się z niedowierzaniem. A przecież to tylko jedna strona medalu. Drugą są rekordowe zyski, jakie firmy czerpią z polityki imigracyjnej zarządzonej przez Donalda Trumpa. Chodzi o prywatne więziennictwo.

Jeszcze większe zyski

Prywatne ośrodki detencji są integralną częścią systemu amerykańskiego więziennictwa – i jako takie realizują zarówno cele publiczne (izolowanie zatrzymanych), jak i zarządzających nimi spółek notowanych na giełdzie (mają przynosić zysk). Układ sięga korzeniami czasów Ronalda Reagana i zapoczątkowanej przez niego polityki „zera tolerancji dla narkotyków". Gdy liczba skazańców zaczęła gwałtownie rosnąć, a federalne i stanowe więzienia pękać w szwach, republikański prezydent zwrócił się po pomoc do sektora prywatnego. Był pewien, że i tutaj wolny rynek też okaże się najlepszą odpowiedzią na publiczną bolączkę.

I tak w 1983 r. działalność rozpoczęła pierwsza spółka więzienna Corrections Corporation of America, dziś to Core Civic; to ona zbudowała pierwszy „nowoczesny" ośrodek detencji w Houston w Teksasie (i wciąż nim zarządza). Biznes robiony „na imigrantach" z czasem stał się wyjątkowo zyskowny – o ile dziś w prywatnych więzieniach wyroki odsiaduje ok. 10 proc. skazanych, o tyle spółki odpowiadają już za los ponad 90 proc. imigrantów (National Immigration Law Center, grudzień 2025).

Ile więc koncerny więzienne zarobiły w ubiegłym roku na nielegalnych imigrantach? Dwa największe – Core Civic oraz Geo Group – zanotowały odpowiednio 116 mln dol. i 254 mln dol. zysku. Dla pierwszego był to wzrost profitów o 69 proc., dla drugiego aż o 700 proc. w porównaniu z 2024 r. Sądząc po sprawozdaniach finansowych za pierwszy kwartał 2026 r., to akcjonariusze znów będą mieli powody do radości. Przychody Geo Group już podskoczyły o 15 proc., a Core Civic o 27 proc. w porównaniu z początkiem roku 2025.

Za tę bonanzę odpowiada przede wszystkim ogromny w skali roku wzrost liczby osadzonych w ośrodkach detencyjnych: z 35 tys. wczesną wiosną 2025 r. do 73 tys. w lipcu tego roku.

Dzienny koszt utrzymania jednego imigranta spółki wyceniają od 30 dol. do ponad 200 dol., co przekłada się średnio na 10 tys. dol. zysku rocznie „od głowy" („ICE Detention Statistics: Population, Costs, and Trends", legalclarity.org, 2026).

Wszystko też wskazuje na to, że osadzonych będzie jeszcze więcej. W lipcu tego roku liczba aresztowań przez ICE po raz pierwszy przekroczyła 2 tys. osób dziennie. Trump docelowo chce 3 tys., a rozbudowywany system detencyjny już niedługo ma być gotów pomieścić 100 tys. osób. Nie ma też obawy, że zabraknie na te cele funduszy. Zostały alokowane już w sławetnej „wielkiej pięknej ustawie" w lipcu ubiegłego roku. ICE otrzymało 76,5 mld dol. – niemal czterokrotność tego, czym dysponowało do tej pory; agencja stała się tym samym najlepiej dofinansowaną służbą mundurową w kraju. A przy tym jedyną, która nie musi się martwić o finanse aż do końca prezydentury Trumpa.

Pieniądz nie śmierdzi

Jeżeli publiczne pieniądze nabijają kabzę korporacjom, które w zamian fundują ludziom piekło, czy nie powinno to wywoływać powszechnego oburzenia? Zwłaszcza w kraju takim jak USA, który, przynajmniej do tej pory, kojarzył się raczej z ochroną niż łama- ▷

eprasa.pl b4f9edcde2

niem praw człowieka? Powinno. I dobra wiadomość jest taka, że choć z opóźnieniem, oburzenie w tej sprawie rośnie, zwłaszcza wśród najmłodszych. Dowodem na to choćby zorganizowany 4 września tego roku protest uczniów w stanie Kolorado, w którym mieszkam, przeciwko działaniom ICE i planowanym w stanie inwestycjom w nowe ośrodki detencyjne. W akcji wzięło udział ok. 25 proc. uczniów i nauczycieli z publicznych gimnazjów i liceów.

Ale informacje o problemach w ośrodkach detencji przebiły się do publicznej świadomości nie dzięki raportom i pracy aktywistów, a dzięki niedawnemu reportażowi w dzienniku „USA Today" o pewnej rozzłoszczonej matce z Teksasu. Laura Berlin, przeciwniczka ICE, stworzyła w ubiegłym roku stronę internetową boycottcitizens.org i zaczęła publikować informacje o tym, jakie firmy bogacą się na polityce imigracyjnej. Już wiosną tego roku, dowiadując się dzięki jej stronie, że Citizens Bank ze wschodniego wybrzeża obsługuje Geo Group i Core Civic, aktywiści z Bostonu doprowadzili do społecznego bojkotu banku, a ten w odpowiedzi zamknął konta obu tym spółkom.

„USA Today" zainteresował się historią Berlin nie ze względu na treści z jej strony, co reakcję Białego Domu. Bo choć materiały bazują na publicznych informacjach, uzyskanych dzięki Freedom of Information Act (ustawa o wolności dostępu do informacji), rząd uznał stronę boycottcitizens.org za „zagrożenie dla bezpieczeństwa", zaś działalność Berlin nazwał „wywrotową". Redakcja dziennika główną uwagę zwracała na fakt, że dostaliśmy kolejny dowód na to, iż konstytucyjne prawa obywatelskie są w Ameryce realnie zagrożone („A mom's website shows who profits from ICE. Why Feds call it a «threat»", „USA Today", 31 sierpnia). Gdy słowo poszło w świat, okazało się, że odbiorców o wiele bardziej jednak zainteresowała lista firm współpracujących z ICE i więziennymi korporacjami. Zwłaszcza że znalazły się na niej cenione i lubiane firmy, jak Fedex, AT&T, Comcast, Dell czy Motorola.

Za dolara dziennie

Świadomość Amerykanów na temat tego, jak działa – raczej: jak bardzo nie działa ich system imigracyjny – rośnie, ale opieszale. To prawda, że brutalne działania ICE, zwłaszcza nagrania z ulicznych łapanek i konfrontacji służb z protestującymi, obniżyły społeczne poparcie dla masowych deportacji z 57 proc. w dniu drugiej prezydenckiej inauguracji Trumpa do 30 proc. obecnie. Wśród wyborców republikańskich wciąż jednak jest ono duże (54 proc.), a w grupie identyfikującej się jako MAGA murem za ICE stoi trzech na czterech ankietowanych (Quantus, styczeń 2025; YouGov, lipiec 2026).

Odpowiada za to zarówno polityczna polaryzacja, jak i przekazy płynące z Białego Domu. Departament Bezpieczeństwa Krajowego (DHS) prowadzi z dziennikarzami, aktywistami i sądami broniącymi praw imigrantów otwartą wojnę. Odrzuca każdy krytyczny reportaż i raport, a nawet sprawozdania kongresmenów osobiście wizytujących ośrodki detencyjne. Nazywa je „fejkami" i „kłamliwymi pomówieniami" („CORRECT THE RECORD: DHS Debunks Sanctuary Politicians' Smears About ICE's Delaney Hall Facility in New Jersey", dhs.gov, maj 2026). Czego w świadomości publicznej brakuje najbardziej? – Podstawowej sprawy: że mamy tu kryzys humanitarny – mówi mi Sophia Genovese, adwokatka reprezentująca nielegalnych imigrantów w sądach i wykładowczyni na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. – Łamanie praw człowieka jest już nie wyjątkiem, ale regułą. W każdym z 30 ośrodków, które odwiedziłam, widziałam przeludnienie i widoczne gołym okiem zaniedbania. W tym brak dostępu do podstawowych artykułów życia codziennego, środków higienicznych, opieki medycznej, a nawet żywności. Ludzie, w tym dzieci, z alergiami czy na specjalnych dietach nie mają szans na właściwe odżywianie, a osoby z potrzebami medycznymi, jak np. dializy, mogą o nich zapomnieć. Niektórzy przebywają w tych placówkach miesiącami. Można sobie wyobrazić, jak to się odbija na ich zdrowiu i kondycji psychicznej – wyjaśnia Genovese.

Dopytuję o sytuację z wodą pitną, bo pojawiły się doniesienia, że brakuje jej osadzonym w Delaney Hall w New Jersey – tu dzień utrzymania został wyceniony na 100 dol. – Ta płynąca z kranu czy z poidełka bywa zanieczyszczona. A jeśli, jak w Nowym Meksyku, jest dowożona, to nie ma jej wystarczająco dużo – odpowiada Genovese. – Ludzie muszą więc kupować ją w sklepie na terenie ośrodka. Oczywiście po zawyżonej cenie. A pamiętajmy, że wielu z nich zostało aresztowanych tak jak stało, bez pieniędzy. W placówce mogą co prawda pracować i zarabiać, ale to zwykle nie więcej niż tylko dolar, najwyżej kilka dolarów dziennie. Ile to butelek wody? Jedna lub dwie – wylicza Genovese.

Marża na produkty w korporacyjnych sklepach to osobny skandal. W raporcie Public Citizen z maja tego roku można przeczytać: „Zdarza się, że osadzeni pracują nawet po 14 godzin dziennie za 1 dol. Zarobione pieniądze wolno im wydać wyłącznie na zakup artykułów w sklepach na terenie ośrodka detencji. Ceny są tam wywindowane: 100 ml tubka pasty do zębów może kosztować nawet 11 dol. (...); tuńczyk w puszce sprzedawany w hipermarketach Target za 85 centów, w Adelanto Detention Center prowadzonym przez Geo Group kosztuje 3,25 dol., a kosztująca dolara w Targecie kostka mydła została wyceniona na 2,44 dol. w Stewart Detention Center zarządzanym przez przez CoreCivic. („Private Profiteers: How ICE Detention Center Contractors Exploit Immigrant Detainees with $1 Per Day Pay", Public Citizen, 13 maja 2026).

Zmuszanie do pracy

Raport Public Citizen zwraca zresztą uwagę na jeszcze jedną rzecz. Na proceder zmuszania osadzonych do pracy. W pozwach sądowych składanych w imieniu imigrantów przeciwko koncernom powtarzają się doniesienia o szantażowaniu izolatką czy blokowaniem dostępu do opieki medycznej i innych przywilejów w przypadku, gdy człowiek odmawia.

Po co koncerny wymuszają pracę? Żeby same jeszcze więcej zarabiały. „W jednym z pozwów przeciwko GEO Group w stanie Waszyngton przedstawiciele GEO Group zeznali, że gdyby firma nie korzystała z pracy imigrantów w ośrodku, to potrzebowałaby ok. 85 pracowników na pełen etat (zatrudnia kilkunastu – red). Gdyby GEO płaciło tym 85 pracownikom stanową płacę minimalną, wynoszącą 17,13 dol. za godzinę, kosztowałoby to firmę dodatkowo ponad 3 mln dol. rocznie" – czytamy w raporcie.

Sophia Genovese wyjaśnia, że widzimy tu jawne łamanie prawa, w tym konstytucyjnego. – 13. poprawka dopuszcza pracę przymusową jako formę kary dla skazanych przestępców, ale wbrew temu, co utrzymuje Biały Dom, ponad 70 proc. imigrantów nie jest kryminalistami. Nielegalne przekroczenie granicy czy pobyt w USA są złamaniem prawa cywilnego. Przepisy wymagają od osoby w detencji jedynie utrzymywania porządku wokół własnego łóżka – mówi.

Program pracy w ośrodkach detencji, za którą przewidziane jest wynagrodzenie w wysokości dolara dziennie, wynika z federalnego prawa ustanowionego jeszcze w 1950 r. Ale wówczas płaca minimalna wynosiła 75 centów za godzinę, zaś butelka coli (nie było wtedy wody w butelkach) kosztowała 5 centów. Przenosząc tę zależność do naszych czasów: wypłata w ośrodku detencyjnym winna być zbliżona do 10 dol. dziennie, bo obowiązująca stawka płacy minimalnej wynosi 7,25 dol. za godzinę. Nadto w większości stanów – dokładnie w 30 – obowiązuje wyższa niż federalna płaca minimalna, wahająca się od 8,75 dol. do nawet 17,13 dol. za godzinę. Nie wszystkie też ośrodki detencyjne prowadzone są w imieniu federalnego rządu – niektóre podlegają władzom stanowym. Czy pracujący w nich imigranci, padają pytania, nie powinni więc być wynagradzani zgodnie z prawem stanowym?

I wreszcie przemoc ze strony strażników i obsługi. Aktywiści oraz organizacje monitorujące sytuację biją na alarm, że w ośrodkach detencyjnych jest ona powszechna. Z jednej strony to nie dziwi. Przemoc od zawsze była problemem w systemie amerykańskiego więziennictwa, nie tylko prywatnym. Ale w ośrodkach detencyjnych pracują także agenci ICE. A wiemy, że służba ta bardziej niż podwoiła ostatnio swoje szeregi – z 10 tys. pracowników w styczniu 2025 r. do 22 tys. z końcem roku. Ten błyskawiczny wzrost, alarmują eksperci, odbył się konkretnym kosztem. Agencja obniżyła standardy rekrutacji, w tym weryfikacji historii agresji i zaburzeń psychicznych u kandydatów, a jednocześnie przyspieszyła procedury oddelegowywania agentów do pracy, skracając im okres szkoleń.

Sygnalistami tych zjawisk są byli pracownicy ICE. Do najgłośniejszych należą Ryan Schwank – były adwokat ICE i świadek zeznający na ten temat przed Kongresem w lutym tego roku, oraz Deborah Fleischaker – była szefowa personelu ICE, która przestrzega, że za rażące niekompetencje obecnych służb będą płacić nie tylko imigranci, lecz także sami Amerykanie. Protestujący przeciwko działaniom ICE Renee Good i Alex Pretti już zapłacili za to swoim życiem.

Zarabia też Trump

Jak potwierdzić, że przemoc w ośrodkach detencyjnych rośnie? Wejść na ich teren jest niezwykle trudno, ale przecież ślady przemocy pozostają nie tylko na ludzkich ciałach i w głowach (przemoc psychologiczna). Także w dokumentacji związanej z opieką medyczną. I właśnie rachunki wystawiane ICE przez lekarzy i ratowników medycznych przeanalizowała organizacja obywatelska American Oversight. Swoje wnioski przedstawiła w sierpniu w raporcie „Records Raise Questions About Medical Treatment and Conditions in Immigration Detention Facilities".

I rzeczywiście – wezwań do przypadków złamań i uszkodzeń, jakie zwykle obserwuje się u osób pobitych, nawet torturowanych, nie brakowało. Mowa tu o specyficznych obrażeniach dolnych kończyn, brzucha, głowy oraz nadgarstków. W ciągu pierwszych 500 dni drugiej prezydentury Trumpa w ośrodkach detencyjnych zmarła też rekordowa liczba osób – aż 52. To dwa razy tyle, co za prezydentury Bidena i tyle, co przez całą pierwszą prezydenturę Trumpa. U pięciu zmarłych osób w akcie zgonu jako przyczynę śmierci podano „obrażenia głowy". Rodziny zmarłych do dziś nie doczekały się żadnych wyjaśnień, a z tego, co wiemy, rząd nie prowadzi w tych sprawach żadnego dochodzenia.

Sophia Genovese ma na to jedno wyjaśnienie. – Tak wygląda system, w którym w symbiozie pozostają rząd i korporacje. Korzyści mają odnosić obie strony. Jest w końcu przyczyna, dla której Geo Group i Core Civic mimo dekad udowodnionych im nadużyć, korupcji i nieszczęść, do jakich przykładają rękę, wciąż są na tym rynku aktywnymi graczami – podkreśla.

To fakt, te spółki mają imponujące plecy. Pam Bondi, do kwietnia tego roku prokuratorka generalna, zajmowała się wcześniej lobbingiem na rzecz Geo Group. Tom Homan, pełniący w rządzie funkcję „cara granicy", był przez lata konsultantem tej korporacji. Udziały w spółce jeszcze do połowy roku posiadał obecny szef ICE David Venturella, który do 2023 r. zasiadał również w zarządzie firmy. Venturella twierdzi, że sprzedał udziały po tym, jak sprawę nagłośniła publicznie senator Elizabeth Warren.

A najlepsze na koniec. Posiadaczem akcji zarówno Geo Group, jak i Core Civic jest Donald Trump. Informacja o tym widnieje w jego oświadczeniu majątkowym z 2025 r. Organizacja Citizens for Responsibility and Ethics in Washington znalazła na koncie Trumpa ślady 29 transakcji akcjami prywatnych koncernów więziennych od chwili, gdy powrócił do Białego Domu. Pierwsze „zakupy" miały miejsce jeszcze w styczniu 2025 r. ©℗

Więcej tekstów tej autorki Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl b4f9edcde2

FOT. MAT. PRASOWE

Czarnomorski balans Turcji

Karol **Wasilewski**

Od początku października Turcja, wraz z Organizacją Narodów Zjednoczonych, próbuje namówić Ukrainę i Rosję do rozmów o zawieszeniu broni na Morzu Czarnym. Wcześniej, w połowie września, zaapelowała do nich o wstrzymanie ataków na statki cywilne na akwenie. Przedstawiła im memorandum, które obejmuje: wykorzystanie w większym stopniu na potrzeby żeglugi szlaków blisko linii brzegowych państw czarnomorskich, żeby ograniczyć ryzyko ataków; zwiększenie ochrony statków na najbardziej niebezpiecznych fragmentach tras; zobowiązanie do powstrzymania się od niszczenia infrastruktury służącej do przechowania i transportu zboża oraz ustanowienie mechanizmu weryfikacji, że statki rzeczywiście służą celom cywilnym.

Plan nawiązuje do jednego z największych sukcesów tureckiej dyplomacji ostatnich lat – Czarnomorskiej Inicjatywy Zbożowej – z której Rosja wycofała się w lipcu 2023 r. Choć prezydent Recep Tayyip Erdoğan zapewniał, że to tylko chwilowe turbulencje, nie udało mu się przekonać Kremla do powrotu.

Memorandum jest wyrazem rosnącego zaniepokojenia Ankary pogarszającą się sytuacją na Morzu Czarnym, bo Ukraina i Rosja coraz intensywniej wykorzystują drony do ataków. Skalę problemu obrazują dane Tureckiej Izby Handlu Morskiego z końca sierpnia: od początku pełnoskalowej wojny na akwenie zaatakowano łącznie 226 statków uważanych za cywilne i handlowe (w tym 26 tureckich), ale aż do 70 proc. uderzeń doszło w pierwszych ośmiu miesiącach tego roku.

Żeglowanie po Morzu Czarnym wiąże się z coraz większym ryzykiem, zaś to oznacza rosnące ceny towarów i żywności oraz coraz wyższe koszty ubezpieczeń. Na świecie znów pojawiają się obawy o bezpieczeństwo żywnościowe, a Erdoğan uczynił z sytuacji na akwenie jeden z głównych punktów wystąpienia na niedawnej sesji ONZ w Nowym Jorku. Spotkał się tam też z Wołodymyrem Zełenskim, by przekazać mu, że ataków na statki handlowe nie da się niczym usprawiedliwić.

Nie był to pierwszy sygnał wysyłany Kijowowi. W sierpniu ukraiński ambasador w Ankarze został wezwany do MSZ po tym, jak jeden z tureckich statków został zaatakowany na Morzu Czarnym.

> Turcja patrzy na Morze Czarne przez pryzmat konwencji z Montreux. To na jej podstawie Ankara mogła w 2022 r. zamknąć cieśniny Bosfor i Dardanele dla okrętów wojujących stron, co skomplikowało działanie rosyjskiej Floty Czarnomorskiej

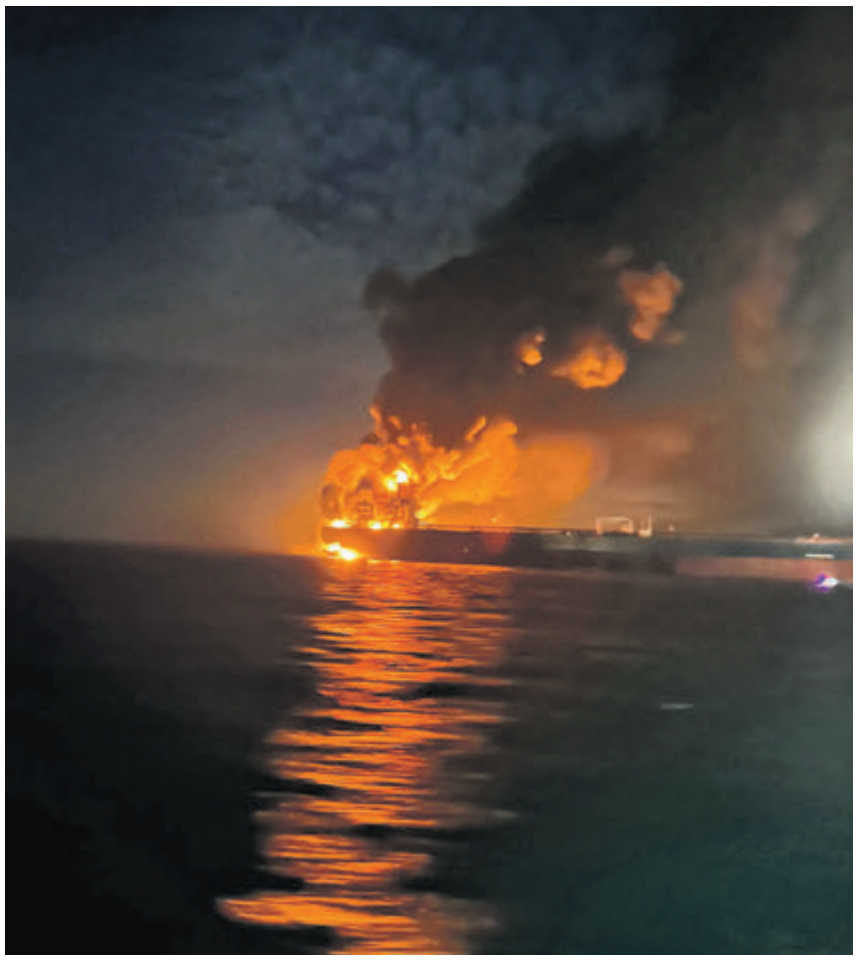

FOT. TURKISH DIRECTORATE GENERAL FOR MARITIME AFFAIRS/MATERIAŁY PRASOWE

Pozory w grze o wysoką stawkę

Ukraińcy raczej nie przejmą się żądaniami Erdoğana. Widać to po wywiadzie, którego ambasador udzielił niedawno tureckim mediom. Mówił, że Kijów nie powinien być obarczany winą za każdy atak, jeśli nie ma na to solidnych dowodów. Sugerował, że Ankara powinna dopuszczać możliwość, że za działaniami wymierzonymi w tureckie statki stoi Rosja. Podkreślił, że plany stabilizacji sytuacji muszą być projektowane tak, by nie pozwolić Rosji na działanie w złej wierze, np. na obstrukcję mechanizmów kontroli statków czy pozorowanie pokojowych działań w celach wywiadowczych. Dyplomata powiedział również coś, co z pewnością bardzo nie spodobało się w Ankarze: zaznaczył, że Kijów odróżnia statki handlowe od tych, które tylko na takie pozują, bo są wykorzystywane przez Moskwę do finansowania działań wojennych. Chodziło, rzecz jasna, o flotę cieni.

Turcy mają do niej podejście, które najlepiej oddaje obśmiewany w internecie status związku: „To skomplikowane". Lubią wygłaszać na jej temat okrągłe formułki – miałem je okazję słyszeć np. od profesorów prawa międzynarodowego; podkreślają, że sprawa jest kłopotliwa, ale z punktu widzenia prawa międzynarodowego są to jednostki cywilne. Nierzadko zapominają przy tym wspomnieć o problematycznych aspektach ich funkcjonowania – o tym, że wyłączają transpondery, manipulują sygnałami GPS, przemycają towary objęte sankcjami, przewożą skradzione z Ukrainy zboże czy potencjalnie mogą służyć jako platformy dla dronów uderzeniowych.

Stanowisko Ankary wynika częściowo z tego, że wygodniej jest nie wiedzieć, aby nie zadrażniać stosunków z Rosją. Obawa jest tym większa, że – jak podkreśla Yörük Işık, szef Bosphorus Observer analizującej ruch okrętów przez tureckie cieśniny – Turcja czuje, że byłaby w tym sprzeciwie osamotniona ze względu na niewystarczająco poważne podejście do floty cieni sojuszników zachodnich. Inną przyczyną jest to, że kradzione ukraińskie zboże przechodziło również przez tureckie porty, a nawet było kupowane przez lokalne firmy (dowodziły tego śledztwa Bellingcat czy AP). Zdarzało się też jednak, że na prośbę Kijowa Turcy dokonywali inspekcji statków.

Nie zmienia to tego, że Ankara jest przekonana, iż warto robić wszystko, co jest w jej mocy, aby nie dopuścić do jeszcze dalej idącej eskalacji na Morzu Czarnym. Tureckim oczkiem w głowie jest kontrola nad cieśninami Bosfor i Dardanele, którą umożliwia jej konwencja z Montreux – to na jej podstawie Ankara mogła w 2022 r. zamknąć je dla okrętów wojujących stron, co skomplikowało działanie rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Konwencja od niemal stulecia jest pryzmatem, przez który Turcja patrzy na Morze Czarne. W tym aspekcie, na ogół dość dobrze dostosowująca się do zmian na świecie, jest radykalnie konserwatywna.

Przywiązanie do korzystnego dla Turcji dokumentu nie jest jedynym powodem przestrachu eskalacją konfliktu na Morzu Czarnym. W ostatnich latach rośnie rola akwenu dla tureckiej gospodarki i jej przyszłości. Przyczyną jest odkrycie w sierpniu 2020 r. złóż gazu ziemnego Sakarya. Według optymistycznych prognoz mogą one zaspokoić nawet 30 proc. lokalnego zapotrzebowania na surowiec. Już teraz – wraz z budową terminali LNG – przyczyniły się one do poprawy stanowiska negocjacyjnego Ankary względem tradycyjnych dostawców gazu, przede wszystkim Rosji (Turcja zmniejsza zależność od tego państwa: dekadę temu importowała stamtąd ok. 50 proc. gazu, dziś to niecałe 40 proc.). Gdyby dodać do tego plany budowy kolejnych elektrowni atomowych, które mają być położone na wybrzeżach akwenu, projekty rozwoju gospodarki wodorowej, a także marzenia o odgrywaniu roli hubu dla surowców energetycznych czy wolę dołączenia do regionalnych korytarzy energetycznych, staje się jasne, że Morze Czarne jest kluczowym elementem bezpieczeństwa energetycznego Turcji. Dalsza destabilizacja sytuacji jest traktowana nie jako drobna dolegliwość, ale katastrofa dla państwa, którego liderzy obiecują Turkom, że XXI w. będzie należał do nich.

Związane ręce

Turcy zapewne nie przekonają Kijowa do tego, że statki należące do floty cieni należy traktować jako handlowe. Nie skłonią do ustępstw Kremla, który dąży do eskalacji konfliktu. Ankara zresztą doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Szef MSZ Hakan Fidan dyplomatycznie akcentuje, że żądania Ukrainy i Rosji są „trudne do pogodzenia". A jeśli wierzyć prasie tureckiej, Moskwa mogłaby powrócić do potencjalnej inicjatywy zbożowej, jeśli Kijów zaprzestałby uderzeń na rosyjskie rafinerie. Ale jest to marzenie ściętej głowy, bo wymagałoby – o czym mówi Zełenski – wstrzymania rosyjskich uderzeń na ukraińską infrastrukturę.

W tej sytuacji Turcja mogłaby próbować wpłynąć na Rosję pośrednio – wykorzystać państwa Globalnego Południa, zagrożone potencjalnym kryzysem żywnościowym, aby to one naciskały na Moskwę. Wśród ekspertów pojawiają się głosy, że jest to jedyny sposób, by skłonić Putina do zmiany polityki. Ankara mogłaby podjąć taką grę z Kremlem, nie tylko wykorzystując rozbudowane kanały dyplomatyczne w Afryce, lecz także zwiększając presję dzięki środkom masowego przekazu, np. posiadającej wiele wersji językowych telewizji TRT. ▷

eprasa.pl b4f9edcde2

PREZENTACJA

Zdrowie psychiczne pracowników ma wymierną wartość

Bardzo wielu Polaków w ostatnim roku mierzyło się z obciążeniem psychicznym, które odbiło się na pracy, relacjach albo śnie. To stawia nas na pierwszej pozycji wśród sześciu badanych krajów regionu. Jednocześnie jesteśmy najbardziej otwarci na poszukiwanie wsparcia – mówi Katarzyna Gryzło, współzałożycielka platformy HEDEPY.

10 października przypada Światowy Dzień Zdrowia Psychicznego. Przy tej okazji odbędzie się premiera waszego raportu dotyczącego zdrowia psychicznego mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej. Jak wypada Polska?

Badanie zrealizowaliśmy wspólnie z agencją Ipsos w sześciu państwach naszego regionu: Polsce, Czechach, na Węgrzech, w Rumunii, na Litwie oraz Słowacji. W tych krajach operuje nasza firma, łącznie działamy na dziewięciu rynkach. Zła wiadomość jest taka, że wskaźniki dotyczące dobrostanu psychicznego w Polsce wypadają najgorzej w całej stawce. Aż 86 proc. wszystkich Polaków w minionym roku zmagało się z problemami natury psychicznej, które miały bezpośredni negatywny wpływ na ich codzienne relacje, sen lub obowiązki zawodowe. W pozostałych badanych państwach odsetek ten waha się od 78 do 81 proc. Różnica nie jest drastyczna, niemniej jednak to my zamykamy stawkę. Dobra wiadomość polega na tym, że jesteśmy społeczeństwem najbardziej otwartym na poszukiwanie specjalistycznej pomocy i korzystanie z niej. W ostatnich latach dokonał się tu olbrzymi przełom mentalny.

Czy trudności, z którymi się mierzymy, różnią się w zależności od metryki i płci?

Byliśmy przyzwyczajeni do stereotypu, że to przede wszystkim kobiety częściej przyznają się do gorszego samopoczucia i sięgają po pomoc. Tymczasem z naszego raportu wynika, że w Polsce kobiety i mężczyźni prezentują identyczną gotowość do otwartego rozmawiania o swoich zmaganiach. Jeśli chodzi o sam katalog problemów, ponad połowa respondentów zmaga się ze stresem. Na kolejnych pozycjach plasują się kłopoty finansowe oraz przygnębienie. W obszarze stresu i przygnębienia wyraźnie wybijamy się ponad średnią w regionie. Z punktu widzenia gospodarki ważne jest to, że co trzeci Polak wprost wskazuje własną pracę zawodową jako jedno ze znaczących źródeł obciążenia psychicznego.

W badaniu pojawił się wątek lęków. Czego najbardziej obawiają się Polacy i któremu pokoleniu towarzyszą największe niepokoje?

Dominuje lęk o przyszłość. Powszechnie uważa się, że to generacja Z przoduje w mówieniu o emocjach, przełamywaniu tabu i szukaniu terapii. Młodzi ludzie w zasadzie nie odczuwają wstydu, a stygmatyzacja jest u nich znikoma. Z kolei pokolenie baby boomers, czyli urodzeni przed 1965 r., deklaruje najmniej problemów. Ale to, że ktoś dostrzega u siebie mniej objawów, nie oznacza wcale, że rzadziej ich doświadcza. Młodsze roczniki częściej dokonują autorefleksji, zaglądają w głąb siebie i bez oporów diagnozują symptomy. Prawdziwą niespodzianką w badaniu okazało się to, że w Polsce to właśnie baby boomersi wykazują najwyższą gotowość do podjęcia próby skorzystania ze wsparcia psychologicznego spośród wszystkich grup, które jeszcze nie spróbowały terapii.

Które pokolenie jest zatem najbardziej obciążone problemami psychicznymi?

Gdy spojrzymy na całą populację, różnice między pokoleniami nie są duże – odsetek osób, u których trudności psychiczne odbiły się na codziennym życiu, waha się od 74 proc. wśród baby boomersów do 91 proc. wśród millenialsów. Generacja Z wyróżnia się czym innym: mierzy się z problemami w największej liczbie obszarów jednocześnie – średnio w 3,5, podczas gdy baby boomersi w 2,3. Polska ma jednak swoją specyfikę. W większości krajów regionu najbardziej obciążeni są najmłodsi. W Polsce trudności najmocniej dotykają ludzi w najbardziej produktywnym wieku: 91 proc. millenialsów i 88 proc. pokolenia X – to najwyższe wyniki w regionie.

Co to oznacza dla pracodawców?

Biznesowe koszty bierności są porażające. Wystarczy spojrzeć na dane ZUS, z których wynika, że w 2025 r. wystawiono niemal 2 mln zwolnień lekarskich z tytułu zaburzeń nastroju i problemów psychicznych. Przełożyło się to na 34 mln dni absencji chorobowej. Z roku na rok notujemy w tych statystykach dwucyfrowe wzrosty procentowe. Płacimy tak wysoką cenę, ponieważ wciąż brakuje nam działań profilaktycznych.

> **Zaledwie 18 proc. Polaków w ogóle nie bierze pod uwagę wizyty u psychologa lub psychoterapeuty. Reszta wykazuje pełną otwartość. Główną przeszkodą są finanse. Aż połowa osób deklarujących potrzebę konsultacji rezygnuje z niej wyłącznie z obawy przed wysokimi kosztami wizyt prywatnych.**

Pozostaje jeszcze zjawisko obniżonej efektywności pracowników, którzy są w pracy mimo złego stanu zdrowia.

Dokładnie tak. Statystyki ZUS rejestrują wyłącznie przypadki sformalizowane. A ilu pracowników codziennie siada przy biurkach i otwiera laptopy w stanie skrajnego wyczerpania? Pracują z niewykorzystanym urlopem, mają nadgodziny, których nie odbierają, a ich kondycja psychiczna drastycznie obniża produktywność. Na polskim rynku pracy, gdzie zmagamy się ze strukturalnym deficytem rąk do pracy, nagła strata specjalisty z powodu kryzysu mentalnego staje się krytycznym problemem operacyjnym.

Co w tej sytuacji mogą zrobić pracownicy i pracodawcy? Czy Polacy w ogóle chcą sięgać po pomoc profesjonalistów?

Zaledwie 18 proc. Polaków w ogóle nie bierze pod uwagę wizyty u psychologa lub psychoterapeuty. Reszta wykazuje pełną otwartość. Główną przeszkodą są finanse. Aż połowa osób deklarujących potrzebę konsultacji rezygnuje z niej wyłącznie z obawy przed wysokimi kosztami wizyt prywatnych. I w tym miejscu otwiera się pole do popisu dla odpowiedzialnego pracodawcy, który może zaoferować pracownikom dostęp do bezpiecznych, anonimowych konsultacji w ramach pakietu świadczeń pracowniczych.

Długie kolejki są na drugim miejscu, tuż obok trudności z wyborem odpowiedniego fachowca. Na konsultację psychologiczną czy psychoterapię w ramach NFZ czeka się miesiącami. Pacjenci chcący ominąć zatory trafiają na rynek prywatny, gdzie zderzają się ze ścianą cenową. Warto odnotować jeszcze jedno zjawisko. Wstyd przed wizytą u specjalisty systematycznie spada i w hierarchii barier spadł na czwartą lub piątą pozycję. Coraz ważniejszy staje się za to problem zweryfikowania kompetencji eksperta, co świadczy o dojrzewaniu naszej świadomości.

HEDEPY stworzyło specjalny program dla firm. Jakie rozwiązania proponujecie biznesowi?

Działamy na rynku od sześciu lat. Rocznie realizujemy milion godzin konsultacji psychologicznych i terapeutycznych. Nasza platforma jest dostosowana do uwarunkowań kulturowych każdego z rynków. W Polsce gwarantujemy pracownikom w pełni anonimowy dostęp do sesji z psychologami, psychoterapeutami oraz certyfikowanymi coachami biznesowymi. Często wydaje się nam, że do specjalisty idzie się dopiero w głębokiej zapaści. Tymczasem wsparcie jest nieocenione przy codziennych wyzwaniach menedżerskich, trudnej rozmowie, spadku zaangażowania podwładnego czy konflikcie w zespole. Spojrzenie z zewnątrz pozwala znaleźć skuteczne rozwiązania operacyjne.

Nasz zespół liczy łącznie ponad 1000 wyselekcjonowanych ekspertów we wszystkich krajach, z czego ok. 350 przypada na Polskę. Bierzemy na siebie pełną odpowiedzialność za rekrutację, drobiazgowo weryfikujemy dyplomy, certyfikaty, wykształcenie i na bieżąco monitorujemy jakość ich pracy, uwalniając użytkownika od dylematu wyboru specjalisty. Ponadto platforma działa w trybie ciągłym, czyli 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu. Oferujemy również materiały dla osób, które nie są jeszcze gotowe na bezpośredni kontakt, czyli samouczki, webinary, warsztaty liderów czy konsultacje z lekarzami, psychodietetykami i trenerami personalnymi. Równolegle pracodawcy otrzymują zagregowane, całkowicie zanonimizowane raporty dotyczące trendów wellbeingowych w ich organizacji.

PARTNER
hedepy for business

eprasa.pl b4f9edcde2

Wątpliwe jednak, że się na to zdecyduje. Po pierwsze, byłoby to ryzykowne z punktu widzenia istotnego celu tureckiej polityki, jakim jest nieprowokowanie Rosji. Po drugie, toczyłaby takie działania w niesprzyjającym środowisku, często przesączonym rosyjską dezinformacją. Ponieważ Turcja nie potrafi sobie z nią poradzić na własnym podwórku – czego dowodzą np. raporty Instytutu Badań nad Turcją – trudno wyobrazić sobie, aby odniosła sukces poza granicami. Po trzecie, nic nie wskazuje na to, by Putin przejmował się krajami Globalnego Południa czy perspektywą kryzysu żywieniowego. Gdyby tak było, nie wycofywałby się z Inicjatywy w 2023 r.

Do stabilizacji sytuacji na Morzu Czarnym Turcy nie wykorzystają również NATO. Wszak konwencja z Montreux jest święta, o czym niemal 20 lat temu przekonali się Amerykanie, którzy próbowali dostarczyć pomoc wojującej z Rosją Gruzji i byli zaskoczeni, że nawet wobec nich Ankara konsekwentnie stosuje się do ograniczeń przewidzianych w dokumencie dla państw nieczarnomorskich. Dlatego Turcy preferują współpracę z sojuszniczymi państwami nadbrzeżnymi – Bułgarią i Rumunią. I o ile o tej kooperacji, zacieśniającej się od 2024 r., można powiedzieć wiele dobrego – a w przyszłości będzie ona jeszcze bardziej istotna, np. z punktu widzenia ochrony infrastruktury krytycznej – o tyle trudno spodziewać się, żeby doprowadziła do powściągnięcia działań Ukrainy, a tym bardziej Rosji.

W takich uwarunkowaniach Turcji zostało z grubsza robienie dobrej miny do złej gry i wychodzenie z kolejnymi inicjatywami deeskalacji wspieranymi przez dyplomatów z ONZ. A także trzymanie kciuków za to, aby do gry o zakończenie konfliktu ukraińsko-rosyjskiego włączył się Donald Trump. Choć dotychczasowe osiągnięcia amerykańskiego prezydenta na tym polu raczej nie dają podstaw do optymizmu.

Czy to drugie morze pomoże

Sytuacja na Morzu Czarnym nie jest bez znaczenia z punktu widzenia Polski. W ostatnich miesiącach Warszawa zaniepokojona perspektywą rosyjskiej eskalacji na flance wschodniej NATO sporo zainwestowała w relacje z Ankarą. Z Polski płyną w kierunku Turcji komunikaty o tym, że bardzo poważnie traktujemy bezpieczeństwo sojusznika – dlatego Polski Kontyngent Wojskowy stacjonuje w tureckiej bazie İncirlik – a region rozciągający się od Morza Bałtyckiego po Morze Czarne uważamy za jedną całość. Warszawa sygnalizuje, że Pakt, by być skuteczny, musi wzmacniać bezpieczeństwo na obu tych akwenach. Ten przekaz i działania Polski nie pozostają bez odpowiedzi. Najlepszym tego dowodem jest dołączenie Turcji do misji Baltic Air Policing w lipcu tego roku.

Nie sposób nie zauważyć, że Morze Bałtyckie odgrywa w naszych planach podobną rolę jak Morze Czarne w tureckich – ma silnie wpłynąć na przyszłość energetyczną państwa, a także na rodzimy przemysł. Podobieństwa widać też na poziomie strategicznych rywali (Rosja) czy wyzwań i zagrożeń, zwłaszcza tych dla infrastruktury krytycznej. Jednak stanowisko Warszawy wobec Ankary warunkują nie tylko podobieństwa. Jest ono podyktowane również kalkulacją strategiczną. W naszym interesie jest posiadanie pewnego sojusznika na południu, aby Kreml musiał liczyć się z tym, że jeśli przyjdzie mu do głowy zrobić coś głupiego u naszych granic, to będzie musiał się zmierzyć z potencjalną eskalacją na Morzu Czarnym. To szczególnie istotne teraz, gdy władze europejskich państw sygnalizują rosnące ryzyko agresywnych działań ze strony Rosji.

Choćby dlatego warto poświęcić przynajmniej część uwagi na obserwację tego, jak zachowuje się – i co myśli – Ankara. Sam test oka nie wypada w tym momencie korzystnie, jako że Turcja jest zainteresowana przede wszystkim deeskalacją sytuacji na Morzu Czarnym. Rzecz jasna, robi to dla własnego interesu, a dodatkowo rozpoczęła ten proces, zanim na flance wschodniej Sojuszu narosły nowe obawy o agresywne działania Moskwy. Nie powinno to jednak przyćmić niekorzystnych wniosków dla polskich nadziei o szachowanie Rosji na południu. Ostrożność będzie jeszcze bardziej wskazana, gdy dodamy to, co Ankara myśli. Podpowiedzią może być tu artykuł prof. Murata Yeşiltaşa, dyrektora programu polityki zagranicznej we wpływowym think tanku SETA.

W najnowszym tekście ekspert wskazuje, że Turcja patrzy na bezpieczeństwo europejskie głównie przez pryzmat Ukrainy i niedopuszczenia do tego, aby Morze Czarne stało się teatrem bezpośredniego starcia NATO i Rosji. Zauważa, że rosyjski atak na flankę wschodnią NATO spowodowałby, że Turcja musiałaby widzieć sytuację przez pryzmat zobowiązań sojuszniczych. Można powiedzieć, że nie jest źle, bo najwyraźniej Turcy rozumieją, że z ich członkostwa w NATO wynikają konkretne obowiązki. Nieco mniej optymistyczne są jednak wnioski Yeşiltaşa: „Wspieranie odstraszania NATO nie powinno eliminować dialogu z Rosją (...) Geopolityczna pozycja Turcji daje jej znaczne pole do działania na różnych teatrach, ale jednocześnie wystawia ją na ryzyko związane z każdym z nich. Prawdziwym testem będzie więc to, czy Ankara potrafi utrzymać granice między swoimi zobowiązaniami, pozostając jednocześnie wiarygodną, gdy zostaną one wystawione na próbę". Oznacza to tyle, że Turcja wciąż zamierza balansować.

Nie wynika z tego, że Polska nie powinna wzmacniać z nią relacji. Przeciwnie – warto tym głębiej angażować Ankarę w obronę flanki wschodniej NATO, by zobowiązania sojusznicze były najsilniejszym elementem jej strategicznego równania. Jednocześnie warto rozumieć sojusznika, żeby lepiej zdawać sobie sprawę z tego, na co możemy liczyć w momencie kryzysu, a co prawdopodobnie pozostanie w sferze fantazji. I wyraźniej akcentować partnerowi znad Bosforu, że w momencie eskalacji my nie będziemy mieć komfortu robienia dobrej miny do złej gry i balansowania, a zobowiązania sojusznicze traktujemy śmiertelnie poważnie. ©℗

Autor jest kierownikiem zespołu Turcji, Kaukazu i Azji Centralnej w Ośrodku Studiów Wschodnich

Mniej Więcej

Łukasz

Wilkowicz

Kryzysowa inflacja

Inflacja w Polsce we wrześniu zatrzymała się na granicy 4 proc. i dzięki rządowym limitom na ceny paliw wiadomo, że przynajmniej do końca roku tej granicy nie przebije. Ale inflacja to nie tylko nasz problem. Jak wynika z wyliczeń grupującej rozwinięte gospodarki Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, tempo wzrostu cen w zrzeszonych w OECD krajach w sierpniu sięgnęło 4,3 proc. Za sprawą kryzysu surowcowego, którego źródłem jest wojna USA i Izraela z Iranem, od kwietnia globalna inflacja przekracza 4 proc. Równocześnie inflacja bazowa – nieuwzględniająca zmian cen żywności i energii – w krajach OECD od początku tego roku wynosi 3,6 proc. (u nas analitycy szacują ją na ok. 3 proc.). Poprzednio była w tych okolicach pod koniec 2021 r. ©℗

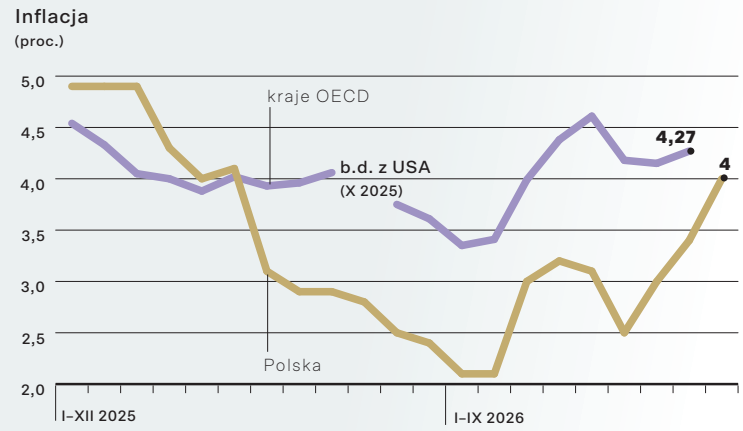

Źródła: GUS, OECD RM ©℗

Zygmunt Stary rządzi w portfelach

Wartość banknotów w krajowej gospodarce pod koniec września przekroczyła 0,5 bln zł – wynika z danych NBP. Ponad połowę pieniądza gotówkowego w Polsce stanowią banknoty o nominale 200 zł – z wizerunkiem Zygmunta Starego. Jedną trzecią (ten udział stopniowo maleje) mają stuzłotówki z Władysławem Jagiełłą. Jeśli uwzględnić monety, to granicę 500 mld zł gotówka w Polsce przekroczyła już w lipcu. Wartość brzęczącej monety w gospodarce to niemal 7,5 mld zł, czyli niespełna 1,5 proc. ogólnej wartości gotówki. W ostatnich 12 miesiącach wartość banknotów i monet obiegowych urosła o niemal 60 mld zł. ©℗

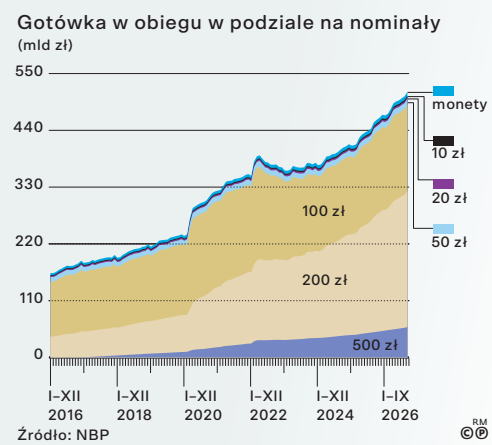

Źródło: NBP RM ©℗

W obrotach hi-tech UE jest na plusie

Według Eurostatu w 2025 r. UE odnotowała 32 mld euro nadwyżki w obrotach handlowych towarami z zakresu zaawansowanych technologii. To drugi rok na plusie po czterech latach z deficytem. Sektorem, który w największym stopniu buduje tu pozycję Europy, jest farmacja. Sprzedaż wyrobów farmaceutycznych wyniosła w 2025 r. niemal 207 mld euro, a nadwyżka – prawie 114 mld euro. Równocześnie w elektronice i komputerach UE odnotowała prawie 131 mld euro deficytu. Ponad 20 mld euro nadwyżki mieliśmy w 2025 r. jeszcze w wyrobach precyzyjnych i lotnictwie. Niewielki deficyt odnotowaliśmy w handlu uzbrojeniem i maszynami elektrycznymi. ©℗

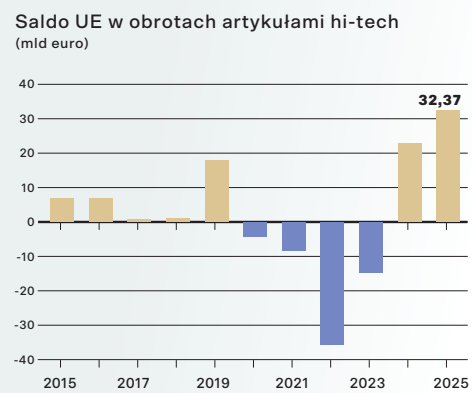

Źródło: Komisja Europejska RM ©℗

eprasa.pl b4f9edcde2

Kraj

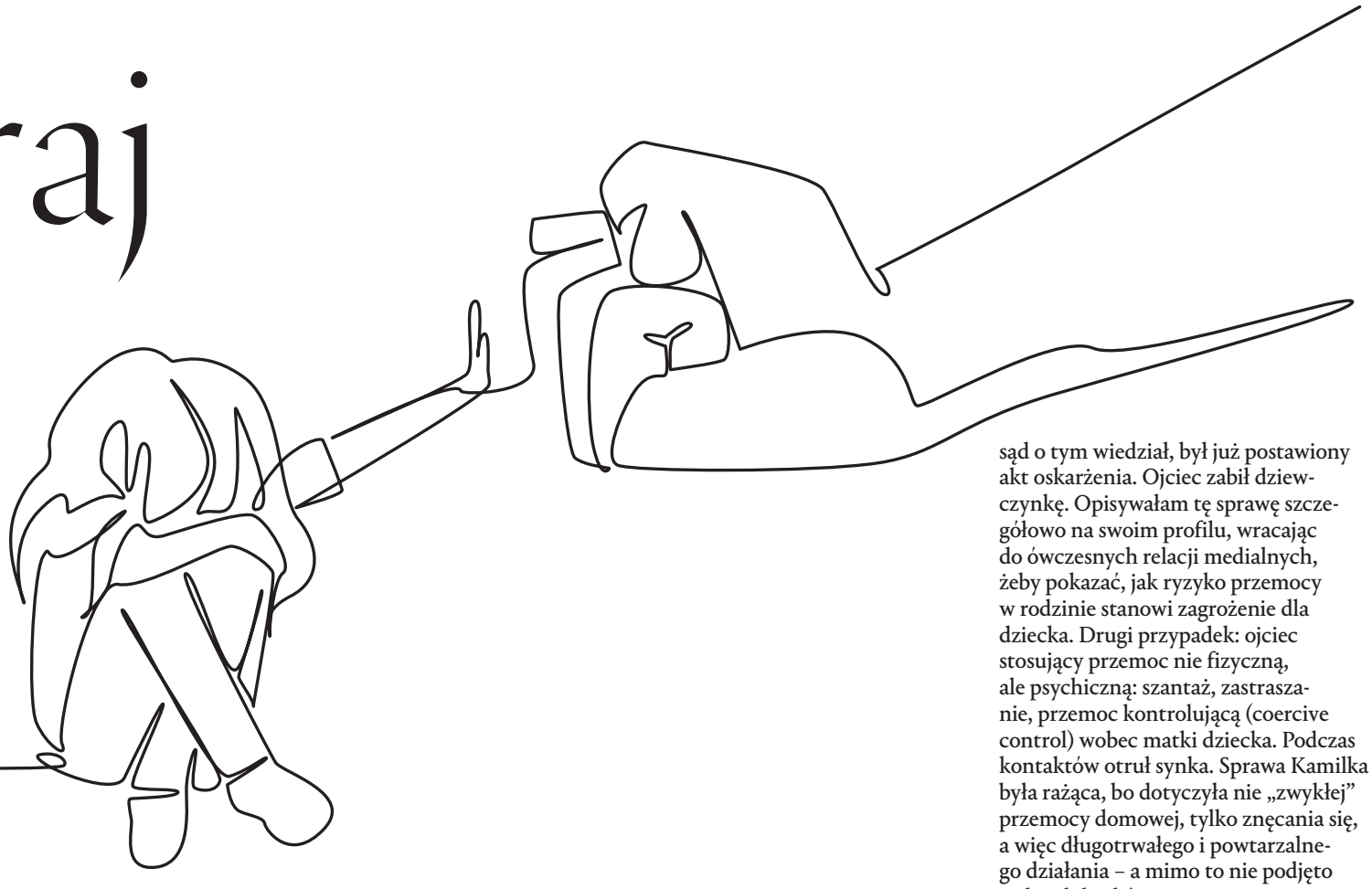

FOT. SIMPLE LINE/SHUTTERSTOCK

Instytucje nie chcą się zajmować kwestią przemocy

W formularzu rozwodowym przemoc jako pozycja w ogóle nie występuje, a sądy od lat nie badają tej kwestii przy orzekaniu o kontaktach z dziećmi

Z Martą

Żejmo-Adamiuk

rozmawia Karolina Nowakowska

Jak polskie instytucje – policja, prokuratura, sądy – reagują na przemoc wobec dzieci?

Jeśli chodzi o pierwszy poziom reakcji, to mamy zawiadomienia składane na policji i w prokuraturach, a także sprawy trafiające bezpośrednio do sądów opiekuńczych, które rozstrzygają kwestie opiekuńcze. I tu zaczyna się komplikacja. Przeglądałam ostatnio statystyki otrzymane z Ministerstwa Sprawiedliwości, przekazane też do sprawozdania złożonego przez Polskę 3 sierpnia do mechanizmu monitorującego konwencję stambulską. Mamy sporo spraw dotyczących ingerencji we władzę rodzicielską: jej pozbawienia, zawieszenia czy ograniczenia. Najbardziej niepokoi mnie to, jak niewielka liczba spraw o pozbawienie władzy rodzicielskiej wynika ze stosowania przemocy.

Liczba dzieci, których dotyczyły sprawy związane z przemocą, rosła systematycznie w ostatnich latach: w 2020 r. było to 211 spraw, w 2021 r. – 238, w 2022 r. – 318, a w 2023 r. – 508. Największy skok odnotowano w 2024 r., gdy liczba spraw sięgnęła 891, natomiast w 2025 r. nieznacznie spadła – do 787. W tylu przypadkach sądy podjęły ingerencję we władzę rodzicielską z powodu przemocy. Tymczasem mówimy o kilkudziesięciu tysiącach dzieci rocznie padających ofiarą przemocy. Wynika to zarówno z danych procedury Niebieskie karty, jak i z badań Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Sądy widzą potrzebę ingerencji we władzę rodzicielską głównie z przyczyn innych niż przemoc, przede wszystkim ekonomicznych.

Sądy nie dostrzegają powagi sytuacji?

Słyszałam na rozprawach, jak sędziowie usprawiedliwiali przemoc. Jeśli dziecko było szarpane za uszy albo wulgarnie wyzywane, to reakcja sądu bywała taka, że „to nie była przemoc, tylko wychowanie". Dla sądów przemoc staje się namacalna dopiero przy ciężkim uszczerbku na zdrowiu, czego rażącym przykładem jest sprawa Kamilka z Częstochowy.

A co z przemocą, której dziecko nie doświadcza bezpośrednio, tylko jest świadkiem?

Ustawa o przeciwdziałaniu przemocy domowej nakłada obowiązek traktowania jako ofiary przemocy również dziecka, które było jej świadkiem, bo to też jest trauma. I tu zaczyna się problem, bo sądy rozróżniają przemoc na bezpośrednio dotykającą dziecko i tę dotykającą drugiego rodzica. Doświadczenie dziecka – świadka jest bardzo często bagatelizowane, a skutki bywają dramatyczne. Mieliśmy przypadek ojca, który dostał opiekę naprzemienną nad ośmioletnią Polą. Wcześniej latami stosował przemoc wobec jej matki, sąd o tym wiedział, był już postawiony akt oskarżenia. Ojciec zabił dziewczynkę. Opisywałam tę sprawę szczegółowo na swoim profilu, wracając do ówczesnych relacji medialnych, żeby pokazać, jak ryzyko przemocy w rodzinie stanowi zagrożenie dla dziecka. Drugi przypadek: ojciec stosujący przemoc nie fizyczną, ale psychiczną: szantaż, zastraszanie, przemoc kontrolującą (coercive control) wobec matki dziecka. Podczas kontaktów otruł synka. Sprawa Kamilka była rażąca, bo dotyczyła nie „zwykłej" przemocy domowej, tylko znęcania się, a więc długotrwałego i powtarzalnego działania – a mimo to nie podjęto żadnych kroków.

A jak odniesie się pani do głośnej interwencji rzeczniczki praw dziecka?

Warto pamiętać, że art. 96 kodeksu rodzinnego i opiekuńczego (k.r.o.) zakazuje stosowania kar cielesnych wobec dziecka. W kontekście sprawy związanej z interwencją rzeczniczki praw dziecka mieliśmy – według doniesień medialnych i słów samej rzeczniczki – do czynienia zarówno z przemocą fizyczną (niebezpieczne szarpanie), jak i psychiczną (wyzwiska). To zazwyczaj w ogóle nie spotyka się z zainteresowaniem sądów. Wciąż pokutuje przekonanie, że dziecko podlega bezwzględnej władzy rodzica, który może dowolnie stosować różne formy krzywdzenia w ramach karania czy dyscyplinowania. Mamy też przestarzały zapis o posłuszeństwie dziecka wobec rodzica. Te prawa są przez rodziców nadużywane.
Nie chciałabym oceniać całej sprawy rzeczniczki praw dziecka, ale wiem, że jest ona wrażliwa na wszelkie formy krzywdzenia dzieci. To sytuacja pokazująca dwa skrajne stanowiska: rzeczniczki, która zareagowała, i sądu, który – mimo znanej z mediów historii przemocy, w tym wyroku wskazującego na patologiczne i przemocowe zachowanie – nie widział powodu do reakcji.

Skoro wąskim gardłem są sądy rodzinne, to może w prawie rodzinnym brakuje zapisu, że przemoc to przemoc.

Taka jest prawda. Mamy zapis o zakazie stosowania kar cielesnych i na tym koniec. W kodeksie rodzinnym i opiekuńczym nie ma zapisów dotyczących przemocy domowej, obowiązku badania jej historii, szacowania ryzyka ani tego, że przemoc powinna wyłączać prawo do opieki lub kontaktów, gdy naraża dziecko na styczność ze sprawcą. To jest olbrzymi ▷

eprasa.pl b4f9edcde2

problem. To jeden z wymogów konwencji stambulskiej, art. 31 nakłada na Polskę taki obowiązek, do tej pory niewykonany. W ostatnim ze sprawozdań ten fragment po prostu pominięto milczeniem, mimo że Rada Europy pytała wprost, czy mamy bezpośrednie przepisy. Podobne obowiązki nakłada też Konwencja o prawach dziecka. Mamy więc dwa źródła w umowach międzynarodowych, których Polska nie wprowadziła do swojego systemu prawnego.
Podobny problem widać przy kontaktach osobistych z dzieckiem umieszczonym w rodzinie zastępczej. Nie chciałabym w żaden sposób uderzać w same rodziny zastępcze – są one niezbędne, ale nie są badane ani diagnozowane pod kątem historii przemocy, Niebieskich kart czy zgłoszeń przed przyjęciem dziecka.
Ze względu na olbrzymie braki w pieczy zastępczej dzieci trafiają byle gdzie, a procedury doboru też nie koncentrują się na przemocy. Jest ona systemowo pomijana i lekceważona. To bardzo niebezpieczny, utrwalony wzorzec.
To się sprowadza do przekonania, że przemoc istnieje dopiero wtedy, gdy spełnia znamiona art. 207 kodeksu karnego, czyli znęcania się, a on dotyczy naprawdę szczególnie brutalnych, długotrwałych i powtarzalnych form.
Tymczasem ustawa o przeciwdziałaniu przemocy domowej mówi, że przemocą jest każdy jej akt. W art. 96 k.r.o. bardzo brakuje zakazu również innych form przemocy wobec dziecka – psychicznej, seksualnej. Mamy też olbrzymią skalę przemocy ekonomicznej wobec dzieci choćby w postaci niealimentacji – to kompletnie pomijane, a przecież prowadzi do ubóstwa i krzywdy emocjonalnej dzieci.

Tymczasem są przecież inne przepisy, które o tych formach przemocy mówią. Jest art. 197 k.k., mówiący o przestępstwach seksualnych, a w sprawie niealimentacji art. 133 k.r.o. Dlaczego powinny one być powtórzone właśnie w artykule mówiącym o obowiązku pieczy nad dzieckiem?

Przepis karny z art. 197 k.k. dotyczy ścigania konkretnego przestępstwa seksualnego, 200 k.k. – seksualnego wykorzystania małoletniego, a art. 133 k.r.o. reguluje po prostu prawny obowiązek alimentacyjny, z kolei art. 209 k.k. penalizuje przestępstwo niealimentacji. W prawie rodzinnym brakuje zdefiniowania tych zachowań wprost jako form krzywdzenia i przemocy w relacji z dzieckiem. Niealimentacja, czyli przemoc ekonomiczna, to forma kontroli i przymusu (coercive control) i stanowi czynnik ryzyka przemocy, tak jak samo rozstanie rodziców, zarówno według konwencji stambulskiej, jak i nowej dyrektywy UE w sprawie zwalczania przemocy wobec kobiet i przemocy domowej.
Prawo karne reaguje z reguły post factum i wymaga spełnienia bardzo rygorystycznych znamion, np. długotrwałości czy szczególnego okrucieństwa, jak przy przestępstwie znęcania się. Tymczasem w prawie rodzinnym, a w szczególności w artykułach mówiących o pieczy nad dzieckiem czy kontaktach, musimy stworzyć system ochrony i jednoznacznie przesądzić, że każdy akt przemocy – nie tylko fizycznej, lecz także psychicznej, seksualnej czy ekonomicznej – jest złamaniem obowiązków rodzicielskich, naruszeniem zasady dobra dziecka, stwarza ryzyko dalszej przemocy i wyklucza należyte sprawowanie opieki.
Obecnie w art. 96 k.r.o. mamy jedynie zakaz stosowania kar cielesnych i na tym koniec. Skutek jest taki, że sądy rodzinne traktują psychiczne znęcanie się, wyzwiska czy szarpanie jak „metody wychowawcze", a niealimentację jak zwykły „konflikt o pieniądze" między rodzicami, ignorując to, że jest ona przemocą bezpośrednio wobec dziecka, wpędza je w ubóstwo i powoduje u niego ogromną, wieloletnią emocjonalną krzywdę zaniedbania, niedostatku, wykluczenia i nierównego dostępu do rozwoju i ochrony zdrowia. Jest rażącym dowodem braku odpowiedzialności i elementarnych kompetencji wychowawczych. Dopóki w przepisach o pieczy czy kontaktach nie nazwiemy wprost wszystkich form przemocy, dopóty sądy przy orzekaniu o władzy rodzicielskiej czy kontaktach nie będą miały jasnych wytycznych do badania historii przemocy i szacowania ryzyka jej wystąpienia, do czego obliguje Polskę i konwencja stambulska, i nowa, wcześniej wspomniana dyrektywa, której implementacja musi się zakończyć do czerwca 2027 r. Przepis o pieczy musi wyraźnie stawiać granicę: rodzic, który krzywdzi dziecko w jakikolwiek sposób, nie licząc się z jego potrzebami i prawami, traci mandat do powoływania się na swoje prawa rodzicielskie, bo dziecko nie jest jego własnością, lecz podmiotem swoich praw, wymagającym ochrony. Obecnie mamy w prawie i orzecznictwie dominację władzy i praw dysfunkcyjnych rodziców nad prawami dziecka. Skutek tego stanu rzeczy to niejednokrotnie dramaty, zakończone nawet przypadkami śmiertelnymi, których przy umiejętnej ocenie ryzyka można było uniknąć. Ale tego ryzyka nikt w sądach rodzinnych nie szacuje.

Czytając komentarze dotyczące sprawy rzeczniczki praw dziecka, można odnieść wrażenie, że szarpnięcie dziecka czy naruszenie jego cielesności w ogóle nie jest przez społeczeństwo postrzegane jako przemoc.

Są badania Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę pokazujące bardzo wysoki odsetek tolerancji przemocy wobec dzieci. Przerażające są czasem posty i żarty o kablu od żelazka, pasku, klapku i pochwalanie takich metod wychowawczych rodem ze średniowiecza. Jako społeczeństwo w ogóle nie przyjmujemy do wiadomości podmiotowości dzieci. Uważam za niedopuszczalne normalizowanie jakichkolwiek kar wobec dzieci czy usprawiedliwianie wyzwisk, obelg, poniżania, naruszania ich godności. W ten sposób wychowujemy kolejne pokolenia, które będą tę przemoc normalizować. Dopóki nie zaczniemy na nią reagować, dopóty nie przerwiemy tego błędnego koła.

Mam wrażenie, że instytucjonalnie jest deprymowana też sama procedura Niebieskiej karty, traktowana nie jak pomoc dla rodziny, tylko jak forma kary czy odium.

Rzeczywiście jest tak traktowana. Widzę sporą aktywność środowisk, których ta procedura dotyczy, ale trzeba też powiedzieć, że Niebieskie karty bywają wykorzystywane np. dla odwetu – zakładane krzyżowo. Osoby, których dotykają procedury ochronne (Niebieskie karty, nakazy opuszczenia lokalu), bardzo często je kwestionują, twierdząc, że są wykorzystywane instrumentalnie, bo „nie ma dowodów". A prawda o przemocy domowej jest taka, że dowodów często po prostu nie ma, bo to przemoc dziejąca się w czterech ścianach, bez świadków. Dlatego taka ważna jest rola psychotraumatologów, którzy potrafią zdiagnozować stan psychiczny ofiary. To on jest często największym dowodem, gdy nie ma nagrań, zdjęć czy obdukcji.

Jak zatem zmienić sytuację, w której sąd czy policja nie wierzą zgłaszającej matce z powodu braku dowodów?

W sądach rodzinnych pokutuje przekonanie, że zgłaszanie przemocy – nazwane przez Instytut Wymiaru Sprawiedliwości „oskarżaniem o przemoc" – jest narzędziem procesowym. Ministerstwo Sprawiedliwości twierdzi w swojej analizie, że tak nie jest. Co gorsza, z badania Instytutu Wymiaru Sprawiedliwości wynika, że zgłoszenia przemocy w ogóle nie spotkały się z reakcją sądu i nie przynosiły negatywnych następstw dla strony oskarżonej, czyli mamy totalne lekceważenie przemocy. Z tego samego badania wynika bardzo niepokojąca liczba: w 61 proc. zbadanych spraw (na 198 spraw objętych badaniem w tym roku) sądy w ogóle pominęły obowiązek przeprowadzenia dowodu na okoliczność, czy w danej rodzinie występowała przemoc. Decyzje dotyczące opieki czy kontaktów były więc podejmowane z pominięciem obowiązku zbadania historii przemocy i oceny jej ryzyka.
Jest jeszcze jedno badanie dr. Filipa Manikowskiego, z 2022 r., dotyczące procedury pierwszej reakcji na przemoc, czyli izolacji sprawcy i nakazu opuszczenia wspólnego lokalu. Objęło 192 sprawy. Wynika z niego, że sprawy podjęte przez sądy rodzinne stanowiły zaledwie 1 proc. Reszta trafiła do sądów cywilnych. Co więcej, w 64,3 proc. zbadanych spraw w lokalu, w którym dochodziło do przemocy między partnerami, mieszkały małoletnie dzieci i ani one, ani ich przedstawiciele nie zostali wezwani do udziału w postępowaniu jako uczestnicy.

Dlaczego tak trudno nam rozmawiać o przemocy domowej? Często te dyskusje sprowadzają się do wzajemnych oskarżeń, a nie pokazują danych.

Myślę, że to się sprowadza przede wszystkim do tego, że instytucje, zwłaszcza sądy, nie chcą się kwestią przemocy zajmować. Mam na to swoją teorię – istnieje pewna obawa. Zdarzały się przypadki wchodzenia do sądu z kanistrem benzyny czy prób samopodpalenia przed gmachem – i to osób z historią przemocy. Warto przypomnieć, że 70 proc. pozwów rozwodowych składają kobiety i bardzo często przyczyną rozpadu jest przemoc. Co ciekawe, ani sądy, ani Główny Urząd Statystyczny w ogóle nie agregują takich danych. W formularzu rozwodowym przemoc jako pozycja w ogóle nie występuje. Jako kraj tego nie monitorujemy. Mamy mit „izolującej matki" i „poszkodowanego alienacją ojca", ale trzeba wrócić do podstawy problemu: sądy od lat nie badają kwestii przemocy przy orzekaniu o kontaktach. Jest przy tym niebezpieczny art. 113 k.r.o., dotyczący obowiązku kontaktów dziecka z rodzicem niezależnie od tego, czy dziecko chce się spotykać, czy nie. Ministerstwo Sprawiedliwości odpowiedziało mi niedawno odmownie na petycję o wykreślenie tego obowiązku. To prawo rodzinne z lat 60., w którym w ogóle nie ma podmiotowości dzieci – dziecko jest przedmiotem praw rodzica. Z takich przekonań wynika też lekceważenie przemocy i uznawanie jej za metodę wychowawczą. Według danych Ministerstwa Sprawiedliwości spraw, w których sąd nakłada kary za rażące utrudnianie relacji z drugim rodzicem, jest 300–600 rocznie. Tymczasem dzieci padających ofiarą przemocy mamy ok. 30 tys., a sądy rodzinne wydają w tych sprawach zaledwie kilkaset orzeczeń rocznie. Mamy więc ogromną, niezagospodarowaną lukę – dzieci, wobec których nie ma reakcji sądu rodzinnego.

Pada też argument, że rodzice mają prawo decydować, jak wychowywać dzieci, a państwo nie powinno się wtrącać. Co pani na to?

Zgodnie z art. 72 konstytucji dzieci mają swoje prawa i podmiotowość, a każdy ma prawo się domagać ochrony dziecka przed wykorzystywaniem, niegodziwym traktowaniem i przemocą. Rozmawiamy o dwóch różnych środowiskach. Jedno to rodziny z pokolenia na pokolenie dotknięte niewydolnością wychowawczą, transmisją przemocy, uzależnieniem od wsparcia instytucji państwa – tam jego rola jest bardzo ważna, takie rodziny potrzebują wsparcia, a decyzje o odbieraniu dzieci powinny być ostatecznością. Rodzice z takich środowisk często sami nie potrafią być obiektywni wobec siebie, nie znają innych modeli. Ale mamy też środowiska wysoko funkcjonujące, dobrze wykształcone, w których przemoc również występuje, tylko ze strony inteligentnych, sprawnych sprawców. I właśnie w takich przypadkach sąd nie bada historii przemocy, orzeka kontakty, dziecko odmawia i – co ciekawe – zdarzają się wyroki, w których dziecko odmawiające kontaktów jest odbierane matce, która zgłosiła przemoc, i trafia do pieczy zastępczej. To jest w istocie przemoc instytucjonalna. ©℗

FOT. MAT. PRASOWE

Marta
Żejmo-Adamiuk
psychopedagog, członek Federacji „Mamy Prawo", wiceprezes zarządu Fundacji Mokosz

eprasa.pl b4f9edcde2

„Święta sprawczość" to za mało

Nie sprowadzajmy wszystkiego do personaliów i ambicji, tylko do kwestii priorytetów. W Nowej Lewicy przyjęto zasadę upasienia się partii w czasie, gdy jest się u władzy. My w Razem do wyborów pójdziemy samodzielnie

Z Marceliną

Zawiszą

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Marcelina Zawisza – działaczka społeczna i polityczna z Partii Razem, posłanka na Sejm

Wygląda na to, że podczas wyborów w Krakowie wybuchła beczka lewicowego prochu, na której siedzieliście razem z Nową Lewicą. Idziecie na noże.

My w Razem od samego początku mówimy, że do wyborów idziemy samodzielnie. Dla Nowej Lewicy wybory w Krakowie miały być pretekstem do tego, by partię Razem zagonić na jedną listę z Nową Lewicą. Problem polega na tym, że Aleksandra Owca zrobiła prawie siedem procent, zostawiła w tyle Darię Gosek-Popiołek i w otoczeniu marszałka Czarzastego zorientowali się, że ich sytuacja robi się coraz trudniejsza. Sondaże pompujące ich poparcie do 18 proc. okazały się ściemą, zaczęła się nerwówka i rzeczywiście może powstać wrażenie, że beczka prochu wybuchła. Widział pan pewnie ostatnie wystąpienie Agnieszki Dziemianowicz-Bąk w Sejmie wymierzone w Razem... Panika.

A może po prostu jej się ulało, bo ileż można słuchać waszego jęczenia, że nic się nie udaje, niczego nie załatwiają i nic nie mogą w tym rządzie. Na liczbach wykazała wam, że jest inaczej. Przecież na chłodno musi pani przyznać, że parę rzeczy dowieźli.

Ależ oczywiście, że parę rzeczy dowieźli – tylko w ten sposób możemy powiedzieć coś dobrego o każdym rządzie. Rząd PiS wprowadził na przykład minimalną płacę godzinową na umowach zlecenia, co pozytywnie zrewolucjonizowało rynek pracy w tym zakresie i zlikwidowało patologie pt. 2–3 zł za godzinę dla ochroniarzy czy pracowników gastronomii. Czy z tego powodu mamy nie krytykować tamtego czasu albo iść na jednej liście z PiS? Dzisiejszy rząd też ma dobre decyzje na swoim koncie – mamy wydłużenie urlopów dla rodziców dzieci, które są chore, czy wcześniaków. To cywilizacyjny krok naprzód, a zarazem obowiązek państwa – i tak, dobrze, że to się dzieje.

Zapytam jak Anna Maria Żukowska na Twitterze: a wy co dowieźliście? „Żadnych zmian, zero, nic" – odpowiada sobie szefowa klubu Nowej Lewicy.

Na samym poprzednim posiedzeniu Sejmu przeszły nasze poprawki dotyczące asystencji osobistej, by wydłużyć okres wydawania decyzji z trzech do pięciu lat, by nie musieć składać wniosków tak często. Do tego cztery kolejne poprawki do prawa farmaceutycznego, które uszczelniły kwestie reklam aptek i ukróciły patologie, by sieci apteczne zachęcały do kupowania w swoich aptekach suplementów diety. Pani przewodnicząca Żukowska za tymi poprawkami zresztą głosowała.

I z perspektywy lewicowego wyborcy to kompletnie niezrozumiałe, że wy się dzisiaj naparzacie, zamiast grać do jednej bramki i wyszarpywać kolejne poprawki, ustawy, projekty, zmiany. Może to po prostu czysto ambicjonalny, personalny spór, bo Dziemianowicz-Bąk czy Biejat były w waszej partii, znacie się od lat.

Nie sprowadzajmy wszystkiego do personaliów i ambicji, tylko do kwestii priorytetów. W Nowej Lewicy przyjęto zasadę upasienia się partii na czasie, gdy jest się u władzy. Usłyszeliśmy to bezpośrednio od Włodzimierza Czarzastego jeszcze w kampanii w 2023 r., gdy było blisko do wyborów, a Czarzasty powiedział nam wprost jedno zdanie, które zapadło mi w pamięć na długo: „Niezależnie od wyniku wyborów, jak będę mógł wejść do rządu, to muszę to zrobić, bo mam głodną partię po tylu latach". Może zabrzmi to naiwnie, ale my naprawdę myśleliśmy wtedy, że przychodzi czas negocjacji konkretnych projektów, ustaw, rzeczy do załatwienia. A im chodziło o nakarmienie partii, resztę się jakoś tam wyklepie. I dzisiaj to widać: to pod resortem Agnieszki Dziemianowicz-Bąk mamy Ochotnicze Hufce Pracy czy PFRON – instytucje, za pomocą których „partia przestaje być głodna".

Jakkolwiek cynicznie to brzmi – lider partii musi też o to dbać. Polityka.

Chciałabym dożyć takich czasów, by to nie było uważane za normalne. Żeby było potraktowane dużo mniej poważnie niż załatwienie dużej reformy. W ciągu trzech lat nie mamy nawet cienia reformy ochrony zdrowia, która mogłaby pomóc pacjentom. Wręcz przeciwnie, dostęp do lekarzy specjalistów się pogarsza, nie ma zmiany wyceny świadczeń, szpitale powiatowe coraz bardziej toną w długach. A Nowa Lewica mówi o wielkiej reformie Państwowej Inspekcji Pracy...

1362 skargi do PIP i setki przekształconych umów śmieciowych w etaty – chwali się Agnieszka Dziemianowicz-Bąk na Twitterze. Też źle?

Super. Ale przepraszam, 1300 skarg złożonych w trzy miesiące ma być dowodem na wielką sprawczość? Przecież – zgodnie z tym, co zapowiadali – umowy śmieciowe miały się skończyć. W tym tempie – zakładając, że mamy ok. 1,5 mln takich umów do zmiany, bo trzeba doliczyć fałszywe umowy B2B z wypchniętymi na JDG – śmieciówki zostaną zlikwidowane za 400 lat. Czterysta lat temu w Polsce panował Zygmunt III Waza.

Wymaga pani od rządowej lewicy sprawczości, jak gdyby miała 250, a przynajmniej 150 mandatów w parlamencie, a nie 21 jak dziś. I tak licytują wyżej, niż powinni, bo liberałów czy konserwatystów jest w tym rządzie więcej. W sprawie PIP to też była walka na zapleczu.

Zależy, jak na to spojrzeć. Bez mandatów Lewicy nie ma tego rządu, tak?

Matematyka jest bezwzględna. Tak.

Ile razy naprawdę serio postawili swoją obecność w koalicji na ołtarzu konkretnej sprawy? Co jest w polityce priorytetem?

Święta sprawczość odmieniana przez wszystkie przypadki od lewa do prawa.

Swoją „świętą sprawczość" Nowa Lewica wykorzystała tylko raz – dla stołka. Na ostrzu noża została postawiona jedynie kwestia marszałkowania Włodzimierza Czarzastego. Co powinno być celem pójścia do polityki? Stanowiska plus ewentualne delikatne łatanie różnych elementów rzeczywistości czy chęć naprawy, na serio, palących problemów? Lewica miała naprawdę dobry czas, by negocjować umowę koalicyjną – można było zaszachować PSL, wymusić kilka konkretnych kwestii. Nie oczekiwaliśmy i nie oczekujemy gruszek na wierzbie, ale umowa koalicyjna powinna zawierać bardzo konkretne ustawy, na przykład dla pracowników, nauki, zdrowia, z nakreślonymi założeniami i terminem ich realizacji, a nie to, że Czarzasty będzie marszałkiem, a OHP będzie można naszpikować partyjnymi działaczami.

A wy co zrobiliście dla pracowników? Żukowska wytyka wam nawet brak głosu za wolną Wigilią.

Nie zagłosowaliśmy za wolną Wigilią, bo w pakiecie była dodatkowa niedziela pracująca dla ludzi handlu.

I znowu – wszystko albo nic.

Nie o to chodzi, pracownicy handlu sami mówili, że woleli kilka godzin popracować w Wigilię, niż siedzieć na dodatkowej zmianie w niedzielę tuż przed świętami. To naprawdę ogromne obciążenie, a ludzie byli wściekli. I tak, można udawać sprawczość, ale my – jako normalna opozycja – mamy prawo to rozliczać, weryfikować, oceniać. Rozmawiamy od 30 minut, ale wie pan tak naprawdę, gdzie leży problem?

Staram się to ustalić.

Problemem jest istnienie partii opozycyjnej, która rozlicza rząd i nie ma prawicowej łatki. Oni wszyscy w dzisiejszej koalicji rządowej marzą o tym, by mieć tylko prawicową opozycję – szybko wrzucić ich do ideologicznej szufladki i mieć z głowy krytykę. Istnienie partii Razem ▷

eprasa.pl b4f9edcde2

i naszej lewicowej krytyki: demokratycznej, na chłodno, jest dla nich okropnie uciążliwe.

Na złość liberałom oddacie kraj faszystom – to Włodzimierz Czarzasty z przestrogą dla was.

Marszałek powinien się zastanowić raczej nad tym, skąd tak naprawdę bierze się wzrost partii prawicowych. Nie wynika on z tego, że społeczeństwo nam konserwatywnieje, że mamy jakiś wielki skręt w prawo, ale z tego, że ludzie mają dosyć polityków, którzy ich zawodzą. Opowiadają w kampanii dyrdymały, że lekarz będzie dzwonił, a benzyna będzie po 5,19 zł – potem udają, że tego nie mówili. Zapowiadali koniec koryciarstwa – a twórczo je rozwijają. Nic dziwnego, że coraz więcej osób rozgląda się za tymi, którzy obiecują, że ich wszystkich pogonią.

Wy chcecie ich pogonić?

Polsce wystarczy już gonitw. Razem to alternatywa dla tych, którzy są niezadowoleni z rządu, ale nie chcą prawicowego szaleństwa. Chcemy pokazać, że głęboka krytyka tego, co dziś mamy, i chęć zmiany tego systemu nie muszą być w pakiecie z zamordyzmem i byciem na pasku Kremla. Że jak się nie zgadzasz z dzisiejszym rządem, to nie dostajesz w pakiecie społecznego darwinizmu jak w Konfederacji albo Macierewicza z plastikowym pistoletem. Potrzebujemy prospołecznej, prodemokratycznej alternatywy, która traktuje poważnie to, co głosi. Przykładem niech będzie praworządność. Zaproponowaliśmy w Sejmie wszystkim partiom podpisanie ustawy rozdzielającej funkcje prokuratora generalnego i ministra sprawiedliwości. Nie może być tak, że do południa jeden człowiek nosi garnitur prokuratora, a po południu wkłada marynarkę i czapeczkę polityka, prężąc muskuły i wygrażając opozycji. Trzeba z tym skończyć, przyjąć ustawę i – jeśli trzeba – skutecznie lobbować za nią u prezydenta.

Nie zdążyliśmy porozmawiać szeroko o ochronie zdrowia. Ale to temat na osobną akademicką dyskusję.

Tak źle jak dziś jeszcze nie było.

Słyszę to co roku.

Bo zjeżdżamy po równi pochyłej. Ministerstwo Zdrowia ograniczyło diagnostykę, co wydłużyło kolejki nawet o sto dni. Ustawa o minimalnych wynagrodzeniach w systemie zdrowia, którą teraz wrzucono do parlamentu, jest z definicji dziurawa, bo nie dotyka sektora prywatnego. Trzeba rozpocząć od centralizacji systemu do szczebla na przykład wojewody czy marszałka województwa. Ale czy ktoś w tej koalicji jest tym realnie zainteresowany? Po trzech latach odpowiedź może być tylko jedna. ©℗

Geologiczny testament PRL

W poszukiwaniu surowców krytycznych mogą pomóc mapy sprzed pół wieku i dawno pobrane rdzenie. Czy współczesna Polska wykorzysta odkrycia swoich poprzedników?

Jacek W.

Brzozowski

Prawie 186 mln zł zamierza wydać państwo do 2033 r., żeby lepiej poznać surowcowy potencjał kraju. 10 września 2026 r. w Monitorze Polskim opublikowano uchwałę nr 171 Rady Ministrów wraz z 81-stronicowym Krajowym programem poszukiwań surowców krytycznych (KPPSK). To nie jest ogólna zapowiedź. Dokument wskazuje obszary badań, planowane prace geofizyczne, geochemiczne i wiercenia oraz harmonogram rzeczowo-finansowy. Wykonawcą programu będzie Państwowy Instytut Geologiczny – Państwowy Instytut Badawczy (PIG-PIB).

Na liście znalazły się surowce potrzebne energetyce, elektronice i przemysłowi obronnemu: miedź, wolfram, wanad, lit, grafit, hel i pierwiastki ziem rzadkich. Rząd chce ograniczyć uzależnienie od importu spoza Unii Europejskiej.

Historia poszukiwań jest długa

W wielu wskazanych miejscach geolodzy byli już 40, a nawet 70 lat temu. Pozostawili po sobie dokumentację, otwory wiertnicze i bardzo wiele rdzeni. Teraz ich następcy wracają z urządzeniami, o których poprzednicy mogli tylko pomarzyć.

– Każdy geolog rozpoczyna pracę od kwerendy materiałów archiwalnych – tłumaczy prof. dr hab. Krzysztof Szamałek, dyrektor Państwowego Instytutu Geologicznego – Państwowego Instytutu Badawczego. Jak wylicza, Centralna Baza Danych Geologicznych zawiera informacje o 336 586 otworach i przechowuje rdzenie z 11 207 otworów. To dorobek ponad 100 lat państwowej służby geologicznej. Przy tworzeniu KPPSK wykorzystano wcześniejsze bilanse perspektywicznych zasobów kopalin oraz wiedzę naukowców z AGH, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Warszawskiego i instytutu Instytutu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią PAN.

Najpierw uran, potem miedź

W czasie okupacji Niemcy przejęli Państwowy Instytut Geologiczny i podporządkowali jego zbiory oraz badania własnym potrzebom. Inwentaryzowali surowce ważne dla gospodarki wojennej. Na terenach, które po 1945 r. znalazły się w granicach Polski, były już stare wyrobiska. Istniały dokumentacje ich dotyczące. Niektóre miały wkrótce zainteresować kolejne mocarstwo.

Po zrzuceniu amerykańskich bomb atomowych Związek Radziecki gwałtownie poszukiwał uranu. Na mocy polsko-radzieckiej umowy z 1947 r. w Kowarach powstało przedsiębiorstwo zajmujące się jego poszukiwaniem i eksploatacją. Przez pierwsze lata prace kontrolowali radzieccy specjaliści. Kiedy w połowie lat 50. zastępowali ich polscy geolodzy, poważnym problemem stał się brak polskojęzycznych materiałów. Ostatni radzieccy specjaliści opuścili Kowary w 1958 r. Według historycznych opracowań PIG w latach 1948–1967 w Polsce wydobyto – i wyeksportowano do ZSRR – ok. 650 t uranu.

W tym samym czasie rozwijały się badania innych surowców. 23 marca 1957 r. z otworu Sieroszowice S-1 wydobyto cztery rdzenie zawierające miedź. Warstwa rudna miała 1,96 m grubości i zawierała średnio 1,5 proc. tego metalu. Dwa lata później zespół geologa Jana Wyżykowskiego udokumentował wielkie zasoby – rzędu 19,3 mln t – miedzi na obszarze 175 km kw. Odkrycie dało początek zagłębiu Lubin-Sieroszowice i odmieniło gospodarkę Dolnego Śląska. Cztery kawałki skały okazały się początkiem przemysłu, który przetrwał wszystkie późniejsze zmiany ustrojowe.

Nie każda historia kończyła się jednak podobnym sukcesem. Obok wielkich odkryć pozostały projekty niedokończone, złoża zbyt trudne, głębokie albo mało opłacalne. Dzisiaj część tych miejsc ponownie pojawia się na rządowej mapie.

Otwory, które przeczekały PRL

W Nowinach wykonywano niegdyś wiercenia, które wskazywały na występowanie rud miedzi i srebra. Kopalni nie zbudowano, ale wyniki pozostały w archiwum. Teraz Nowiny znalazły się wśród pięciu potencjalnych obszarów perspektywicznych – obok Krępy, Żakowa, Raciborowic i Nowego Kościoła. Program przewiduje powrót do dawnej dokumentacji i dalsze badania. W Nowym Kościele zaplanowano m.in. pełnordzeniowy otwór NK11 o maksymalnej głębokości 800 m. Pełny rdzeń pozwala uzyskać ciągły zapis kolejnych przewiercanych warstw. Niezależnie od nowych wierceń geolodzy mogą ponownie analizować także archiwalne próbki z tego obszaru. Współczesne metody pozwalają szukać w nich pierwiastków, których kilkadziesiąt lat temu nie potrafiono oznaczyć.

– Pozwalają przede wszystkim określić obecność i zawartość pierwiastków chemicznych, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu były nieoznaczalne – wyjaśnia prof. Szamałek.

Zmieniły się też potrzeby przemysłu. Geologa w latach 70. mogła interesować przede wszystkim miedź. Dziś jego następca szuka w tej samej próbce także pierwiastków potrzebnych w elektronice lub nowoczesnej energetyce.

Profesor przypomina, że na całym świecie wraca się do dawnych złóż i terenów sąsiadujących z nieczynnymi kopalniami. Kiedyś opłacało się wybierać najbogatszą rudę. Rozwój technologii sprawił, że w części przypadków można dziś wykorzystać także uboższe złoża.

Miliard ton, brak kopalni

Na Suwalszczyźnie od dawna znano potężną anomalię magnetyczną. W latach 50. zaczęto ją sprawdzać wierceniami, a w 1962 r. w rejonie Krzemianki i Udrynia natrafiono na wanadonośne rudy żelaza i tytanu. Prace trwały przez kolejne dziesięciolecia. Oszacowano złoża na ok. 1,34 mld t rud. Brzmi jak geologiczny strzał w dziesiątkę, ale złoża leżą głęboko, a ich wykorzystanie byłoby kosztowne. Dochodzi do tego ochrona wyjątkowo cennego przyrodniczo regionu.

Doktor Piotr Wojtulek, adiunkt w Zakładzie Gospodarki Surowcami Mineralnymi Instytutu Nauk Geologicznych Wydziału Nauk o Ziemi i Kształtowania Środowiska Uniwersytetu Wrocławskiego, przestrzega przed prostym utożsamianiem wielkich zasobów z opłacalnym wydobyciem.

Jak wyjaśnia, żelazo, tytan i wanad – obecne w złożach suwalskich – można dziś importować bez większych trudności, a ich ceny nie są wysokie.

Program poszukiwawczy może pogłębić wiedzę o tych rudach, lecz sam

eprasa.pl b4f9edcde2

PATRONAT HONOROWY
Ministerstwo Aktywów Państwowych
Ministerstwo Energii
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Ministerstwo Rozwoju i Technologii
PARTNER STRATEGICZNY:
asseco

FOT. MACIEJ KULCZYŃSKI/PAP

Oddział solny należący do kopalni miedzi Polkowice-Sieroszowice Szyb SG-1 św. Jakuba w Jerzmanowej

w sobie nie oznacza powrotu do planów ich eksploatacji. Miliard ton rudy nie oznacza od razu wielkiego bogactwa. Warto o tym pamiętać przy lekturze każdego komunikatu o nowym odkryciu geologicznym.

Tajno i Sudety. Inny rodzaj poszukiwań

Niedaleko Augustowa leży Tajno – masyw skał alkalicznych badany już w poprzednich dekadach. Nie powstała tam kopalnia metali ziem rzadkich, lecz zachowały się wyniki wierceń i pomiarów. Dzisiaj te pierwiastki są potrzebne m.in. do produkcji stosowanych w elektronice i energetyce silnych magnesów trwałych. Program przewiduje reinterpretację archiwalnych danych z Tajna i opracowanie trójwymiarowego modelu mineralizacji. Dopiero wyniki tych prac mają pomóc określić zasadność kolejnych odwiertów.

Podobne spotkanie dawnej wiedzy z nowymi potrzebami czeka Dolny Śląsk. Program wskazuje m.in. rejony Szklarskiej Poręby, Zakrętu Śmierci i Zbójeckich Skał oraz Markocic i Opolna-Zdroju. Zaplanowano tam badania dotyczące pierwiastków ziem rzadkich, w tym prace geofizyczne i wiercenia weryfikacyjne. W regionie pełnym starych kopalń, sztolni i z dokumentacją nowe prace nie zaczynają się od zera. Nie można jednak pomylić stwierdzenia interesującej mineralizacji z odkryciem złoża nadającego się do przemysłowego wykorzystania.

Myszków. Próba generalna

Nieco inaczej wygląda historia Myszkowa (woj. śląskie). Intensywne wiercenia rozpoczęto tam w 1975 r., a zakończono w 1992 r. Złoże udokumentowano już po upadku PRL, w 1993 r. Według przywoływanych danych geologicznych obejmuje ono ok. 551 mln t rud molibdenowo-wolframowych z miedzią. Szacowano, że jest w nich ok. 295 tys. t molibdenu, 238 tys. t wolframu i 800 tys. t miedzi. Pomimo rozpoznania tak dużych zasobów kopalnia nigdy nie powstała.

Najnowszy KPPSK ponownie kieruje uwagę na Myszków, ale nie chodzi wyłącznie o potwierdzenie dawnych wyników. Geolodzy chcą zbadać tam obecność innych cennych surowców, m.in. kobaltu, bizmutu oraz metali ziem rzadkich. Wykorzystanie nowoczesnych technik analizy pojedynczych ziaren mineralnych może pozwolić wykryć pierwiastki, których zawartość w dawnych badaniach całych próbek była niedoszacowana.

Myszków wyróżnia jeszcze jedna okoliczność. – Mówimy o surowcach pożądanych i pojawił się podmiot, który chce pozyskać koncesję rozpoznawczą – informuje dr Wojtulek.

Zainteresowanie inwestora nie przesądza o budowie kopalni, ale stawia pytanie, którego nie rozstrzygną żadne laboratoryjne analizy.

– To będzie całkiem ciekawy przypadek, który odpowie nam w zasadzie na pytanie, czy w Polsce XXI w. jest miejsce na inwestycje górnicze. A jeśli odpowiedź byłaby negatywna, to z jakich powodów? – mówi dr Wojtulek.

Kto zbuduje kopalnię?

W tym miejscu historyczna opowieść zamienia się w pytanie o przyszłość polskiego przemysłu. Główną przeszkodą nie muszą być już ograniczenia techniczne. W ostatnich dziesięcioleciach zasadniczo zmieniło się społeczne i gospodarcze podejście do górnictwa. Dawniej kopalnia oznaczała rozwój regionu, miejsca pracy i inwestycje infrastrukturalne. Dzisiaj często kojarzy się przede wszystkim z kosztami środowiskowymi i konfliktami społecznymi.

– W mojej ocenie to zmiana podejścia do inwestycji górniczych jest przyczyną tego, że nie obserwujemy w Polsce rozwoju tej gałęzi przemysłu – mówi dr Wojtulek.

Zwraca też uwagę, że inwestycje służą głównie utrzymaniu istniejącego wydobycia, czego przykładem jest KGHM, a znacznie rzadziej uruchamianiu kopalń na niezagospodarowanych złożach. Jako przykład podaje on rejon Nowej Soli. Zalega tam pożądana miedź, ale złoża są głębokie, problemem pozostają technologie eksploatacji i przeróbki, a do tego dochodzą bariery związane z przygotowaniem wydobycia.

– Wokół ewentualnej inwestycji zawiązał się prawdziwy węzeł gordyjski powodów, dla których wciąż zwlekamy z przejściem do etapu choćby planowania kopalni – zauważa Wojtulek. Według niego zbyt rzadko uwzględniamy jeszcze jeden skutek transformacji ustrojowej: decentralizację decyzji. – Przecież znaczący sektor górniczy odziedziczyliśmy przede wszystkim po okresie PRL. W warunkach decentralizującej się III RP rozmywana jest ustawicznie odpowiedzialność za decyzje. W procesie tym biorą udział dziś także samorządy czy organy środowiskowe. Dodając kolejne ośrodki decyzyjne, powodujemy, że wydłuża się lista etapów do przejścia, by dana inwestycja mogła zaistnieć. Bo każdy z takich etapów potencjalnie generuje sytuacje konfliktowe, które proces mogą wykoleić. I tak się zazwyczaj dzieje, skutkując coraz większym spadkiem znaczenia górnictwa w gospodarce naszego kraju – dodaje.

Na poziomie unijnym ten sam dylemat próbuje rozwiązać Critical Raw Materials Act. Unia chce rozwijać własne wydobycie, przetwórstwo i recykling surowców strategicznych, ograniczając zależność od obcych dostawców. Piotr Wojtulek jest jednak sceptyczny. Jego zdaniem nowym celom nie towarzyszy wystarczające uproszczenie procedur, szczególnie ocen oddziaływania na środowisko. Europa potrzebuje minerałów, ale budowa nowych kopalń nadal pozostaje trudnym przedsięwzięciem.

Testament czy obietnica?

KPPSK ma trwać do 2033 r. Opublikowany już harmonogram rzeczowo-finansowy obejmuje cały ten okres, ale dokładna kolejność prac w najbliższych miesiącach nie jest jeszcze przesądzona. Uchwała nr 171 Rady Ministrów zobowiązuje PIG do przedstawienia szczegółowego harmonogramu na lata 2026–2027 w ciągu 30 dni od jej wejścia w życie, czyli do 25 października 2026 r. Dopiero ten dokument powinien dokładniej wskazać, kiedy geolodzy ruszą do poszczególnych lokalizacji.

Nie ma też gwarancji, że ponowne badanie starych rdzeni przyniesie przełom na miarę odkrycia Jana Wyżykowskiego. Program może jednak odpowiedzieć na pytania, których kilkadziesiąt lat temu nie umiano jeszcze postawić lub brakowało aparatury, żeby na nie odpowiedzieć.

Profesor Szamałek pokazuje, ile nowej wiedzy można wydobyć ze starej skały. Doktor Wojtulek stawia trudniejsze pytanie: co zrobimy z tą wiedzą, jeżeli okaże się, że pod ziemią rzeczywiście leży coś cennego? Między geologicznym odkryciem a pierwszą toną wydobytej rudy jest bowiem droga, której nie da się pokonać samą wiertnicą. ©℗

eprasa.pl b4f9edcde2

Kultura

FOT. KRZYSZTOF MARIAŃSKI/MATERIAŁY PRASOWE

Łukasz Pawlak z wytwórni Requiem Records

Lajki nie kosztują. Płyty – tak

W dobie taniego dostępu do muzyki w sieci coraz trudniej wymagać od melomana, żeby kupował płyty. Czy niezależnych wydawców uratują kolekcjonerzy?

Konrad

Wojciechowski

Pod koniec lipca w serwisach społecznościowych pojawił się poruszający wpis polskiego wydawcy muzyki niezależnej. Jakiś czas temu jego wytwórnia wydała album z muzyką elektroniczną polskiego wykonawcy, aby ocalić tę twórczość od zapomnienia. Zainteresowanie było umiarkowane. Jeśli zapytać ludzi, czy warto wydawać rodzimą muzykę, większość odpowie zgodnym chórem, że tak. Gdy jednak przychodzi co do czego (do kupowania) i płyta jest na rynku, polubią post na Facebooku, napiszą komentarz, zostawią buźki i serduszka, co nijak nie przekłada się na sprzedaż.

„Przy tej płycie pierwszy raz od dawna zacząłem się naprawdę zastanawiać… dla kogo ja to robię?" – napisał autor postu. Dodał, że nie zamierza się nad sobą użalać, nie oczekuje litości, współczucia ani nagłego wysypu zamówień tej czy innej płyty, bo marne by to było pocieszenie. Po prostu chciał się podzielić z osobami obserwującymi go w serwisach społecznościowych rozterką, czy praca wydawnicza ma jeszcze sens, czy jeszcze komuś zależy na polskiej muzyce niezależnej, skoro kliknięcia pod postem nic nie kosztują, a zakup płyty jest zbyt dużym wydatkiem, najwyraźniej mniej opłacalnym niż odnawianie comiesięcznych subskrypcji w serwisach streamingowych za słuchanie muzyki po niewygórowanej cenie.

Do kolekcjonerów, którzy nagabują go za każdym razem, czy jakaś płyta wyjdzie także na winylu, sam ma pytanie: skąd wziąć na to pieniądze? Koszt produkcji 300 egzemplarzy to ok. 8–9 tys. zł netto. „Kiedy taki nakład ma się zwrócić? A może trafniejsze byłoby inne pytanie: z czego?" – zagadnął fanów swojego profilu wydawca.

Kto kupuje, kto lajkuje

Tym wydawcą jest Łukasz Pawlak, jego wytwórnia nazywa się Requiem Records. Firma działa na rynku od 1994 r. Wydaje muzykę elektroniczną, klasyczną i jazzową, a także ambient czy postidustrial. Troszczy się o polskie archiwa. Wśród wykonawców promowanych przez RR trudno znaleźć estradowe gwiazdy. Nazwy artystów i zespołów, tj. Aurora, Agressiva 69, Rózga czy Tatvamasi, nic nie powiedzą słuchaczom radia. To wiedza dla wtajemniczonych. Requiem nie dotyka mainstreamu, choć ma w katalogu płytę formacji Kafel, dokumentującą muzyczne początki Katarzyny Nosowskiej na kilka lat przed eksplozją jej popularności w grupie Hey.

– Pod moim wpisem pojawiło się ponad 140 komentarzy, ponad 300 polubień, a post się doczekał kilku udostępnień. Jednak cała dyskusja przyniosła mi ledwie dwa zamówienia. Reakcje w serwisach społecznościowych nijak nie przekładają się na relacje zakupowe. Wiedziałem o tym wcześniej, a teraz to się tylko potwierdziło – mówi Łukasz Pawlak. Z jego wypowiedzi wnioskuję, że rynek sam siebie trochę oszukuje, kiedy z liczby lajków usiłuje wyciągać daleko idące wnioski sprzedażowe. I dotyczy to także sprzedaży sentymentalnej. Wspomnienia są nam drogie, lecz może nie pożądamy ich za wszelką cenę?

O klientach Łukasza Pawlaka i im podobnych głośną przed 10 laty książkę napisał Simon Reynolds. W „Retromanii" brytyjski dziennikarz pokazuje, jak karmimy się przeszłością, bazujemy na nostalgii i umiemy zatrzymać czas za pomocą muzyki, bo to my się starzejemy, a ona jakoś nie. Tyle że przez dekadę zyskaliśmy bardzo łatwy dostęp do nielimitowanej muzyki w internecie, który z pewnością osłabił potrzebę wydawania niemałych w końcu pieniędzy na płytowe trofea, a przy tym znużył nadmiarem.

– Kiedyś ludzie przychodzili do sklepu, brali płytę do ręki i decydowali, czy chcą ją kupić. Moje pokolenie czerpało wiedzę od „plemiennych wodzów". Dziś zastąpił ich internet, i to w nim szuka się teraz informacji, ale chyba towarzyszy temu mniejsza frajda odkrywania. Młodzi dowiadują się o muzyce z sieci i nie potrzebują kupować archiwów płytowych, a starsi zamknęli kolekcje. Miałem stałego klienta, który przestał składać zamówienia nie dlatego, że stracił zainteresowanie muzyką czy odstawił na bok sentymenty. Przyczyna jest prozaiczna: nie ma już gdzie składować kolejnych płyt. Osiągnął masę krytyczną – tłumaczy twórca Requiem Records.

Wydawnictwo stanęło na rozdrożu pokoleń. Klienci po pięćdziesiątce, którzy dorastali na początku transformacji, doskonale pamiętają zaporowe ceny w sklepach muzycznych i masowe przegrywanie kaset magnetofonowych, aby minimalnym kosztem wejść w posiadanie bezcennych nagrań. Dziś je skupują, bo ich na to stać, a chcą je mieć, bo zbieranie wspomnień to domena każdego kolekcjonera. Ale to wyjątki. Większość wybiera wygodny sposób konsumowania muzyki, a jeśli swoich wysmakowanych potrzeb nie zaspokoi za pośrednictwem YouTube'a czy Spotify, przeskanuje zasoby SoundClouda czy Bandcampa i tam pewnie natknie się na wystarczająco alternatywnych artystów, którzy udostępnią piosenki za darmo.

20- i 30-latkowie nie mają silnej potrzeby kupowania płyt. Może nawet nie wiedzą, jak to się robi. Gdy chcą czegokolwiek posłuchać, używają smartfonu. Po co im winyl albo kompakt, skoro muzyka pada z wirtualnej chmury danych? To pokolenie przyszło na świat uporządkowany wedle cyfrowych reguł. Nie czuje tęsknoty za analogową przeszłością i nie podziela sentymentu, który odczuwają

eprasa.pl b4f9edcde2

starsi. Jeśli kupi płytę, to raczej nie przez wzgląd na wykonawcę i nie dla samej muzyki, ale z uwagi na wygląd okładki.

– Ostatnio rozstawiłem stoisko na targach komiksu, na których pojawiło się mnóstwo młodych ludzi – opowiada Pawlak. – Byłem tam jedynym wydawcą muzycznym. Moja obecność wiązała się ze sporym ryzykiem. A jednak sprzedałem sporo płyt. Dlaczego? Mam okładki w różnych formatach, artystycznie projektowane, a to przykuwa uwagę. Młodzi wykazują potrzebę posiadania atrakcyjnych przedmiotów tak jak moje pokolenie, które zbierało puste opakowania po papierosach czy puszki po piwie. Czasy były inne, inne artefakty zaprzątały nam głowy, biurka i półki. Młodym klientom nie przyświeca nostalgia za muzyką, ale potrzeba obcowania z rzeczami materialnymi ocalała – ocenia wydawca.

Tęsknota za zachwytem

Dlaczego ulegamy nostalgii? Bo czegoś nam brakuje w dorosłym życiu.

– Nieodłącznymi elementami naszego dzieciństwa są odkrywanie i ekscytacja. Doświadczanie rzeczy pierwszych budzi w nas radość przeżywania. Kiedy byłam dzieckiem i obejrzałam pierwszy raz „Terminatora 2", efekty specjalne robota T-1000 wprawiły mnie w autentyczny zachwyt. Kiedy pierwszy raz czytałam „Forresta Gumpa", płakałam ze śmiechu. Dziś, jak wiele osób, z sentymentem wracam do filmów i książek, które wówczas mocno przeżywałam, ale te pierwsze emocje są nie do odzyskania. Z upływem czasu coraz trudniej się zachwycać światem, w tym kulturą, bo gromadzimy doświadczenia, pewne rzeczy nam się opatrują. A nostalgia jest tęsknotą za momentem zachwytu i dlatego tak chętnie za nią gonimy – wyjaśnia dr Aleksandra Wronecka, kulturoznawczyni i antropolożka z Wydziału Prawa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu SWPS we Wrocławiu.

Dorastała w domu, w którym grała muzyka – bardzo głośno, gdy brat namiętnie słuchał Metalliki, i nieco ciszej, kiedy mama w kuchni przy otwartym oknie, przez które wpadało letnie słońce, w czasie gotowania słuchała „Małgośki" w wykonaniu Maryli Rodowicz. Były wakacje, moment beztroski, więc zapłakana Małgośka z piosenki kojarzy się dr Wroneckiej dość pogodnie. A nostalgii sprzyjają właśnie skojarzenia.

– Pytam czasami studentów, jakiej muzyki słuchają i co miało wpływ na ich muzyczny gust. Bardzo często wspominają rodziców. Na przykład tata woził kogoś do szkoły i w samochodzie słuchał w kółko jednej piosenki albo jednego zespołu i tak zaraził kogoś miłością do Depeche Mode. Nostalgia bywa też następstwem przeżywania czegoś razem z drugą osobą, wspólnego spędzania czasu. Chodzi o to samo doświadczenie odczuwane także przez inne osoby – dodaje antropolożka.

Gust po rodzicach

Marek jest kolekcjonerem w średnim wieku. Przez całe swoje dorosłe życie zbiera płyty kompaktowe z muzyką. – Zbieractwem zaraził mnie ojciec – przyznaje. – Biegał po straganach, lokalnych sklepach i co kilka dni dokładał jedną płytę albo dwie na półkę. To dzięki niemu poznałem Smokie, Queen i Deep Purple. Bardzo się wkręcił w klasykę. Kupował regularnie serię „Muzyka Mistrzów", zamykał się w pokoju, a zza ściany dobiegały dzieła Verdiego, Liszta czy Chopina. Kiedy dojrzałem, przejąłem pałeczkę w tej zakupowej sztafecie.

Płytoteka rosła i wędrowała za Markiem podczas kolejnych przeprowadzek. Mężczyzna zdał sobie w pewnym momencie sprawę, że nie da się w nieskończoność poszerzać zbiorów, bo żadne mieszkanie nie jest z gumy, mimo że kompakty zajmują mniej miejsca niż większe formatowo winyle. – Przechowuję kolekcję w specjalnie zaprojektowanej, wielokomorowej wiszącej szafie nad łóżkiem w sypialni. Tam gromadzę wyłącznie płyty. Mam ich ok. 5 tys. Wzbogacam płytotekę, ale ograniczam zakupy do trzech, czterech nowych tytułów miesięcznie. Nie mieszkam sam, mam żonę i dwoje dzieci, każdy potrzebuje przestrzeni. Mój zapał kolekcjonerski ostygł po osiągnięciu stanu rodzinnego – uśmiecha się Marek.

Nie policzy, ile w ciągu ostatnich 25 lat wydał na płyty. Kupował za grosze od piratów fonograficznych, po zwykłych cenach detalicznych i za grube pieniądze na internetowych aukcjach. Ma w płytach pewnie kilkadziesiąt tysięcy złotych. Nie żałuje tej inwestycji. – Zwykle kupuję muzykę, aby uzupełnić dyskografię danego wykonawcy albo żeby lepiej poznać artystę, o którym wiem nie dość wiele. Często kieruję się recenzjami i rekomendacjami innych użytkowników. Sentyment? W dużej mierze tak. Mniej ciekawią mnie muzyczne nowości i premiery. Sięgam po muzykę, z którą czas obszedł się łaskawie, i po piosenki, które zapadły w zbiorową pamięć.

Wpływ rodziców na muzyczne predylekcje Marka nie jest przypadkowy. Rodzice pierwszy raz zatańczyli przy piosence „Super Trouper", więc syn ma słabość do ABBY. Mama uwielbiała Tinę Turner, dlatego Marek ma wszystkie albumy amerykańskiej piosenkarki od „Private Dancer" z 1984 r. Dzięki ojcu zaczął słuchać jazzu i glam rocka, bo znalazł pojedyncze tytuły, a był ciekawy, kto jeszcze za tą muzyką się kryje. – No i dużą sympatię do polskiego rocka lat 80. też zawdzięczam rodzicom – dodaje kolekcjoner.

Wytatuowany sentyment

Na rynku działa wiele wydawnictw płytowych, które zajmują się fonograficzną przeszłością polskiego rynku muzycznego. Wśród nich jest wytwórnia GAD Records. Zaczęła działalność od przypominania osiągnięć gigantów rodzimego jazzu, bo pierwsze płyty z serii wydawniczej GAD dokumentowały twórczość Zbigniewa Seiferta, Jana Ptaszyna Wróblewskiego czy Włodzimierza Nahornego. Z czasem jazzowy katalog poszerzył się o funk, muzykę filmową i elektroniczną, a także o kilka tytułów z kręgu nadwiślańskiego big bitu, a nawet o nagrania polskich kabaretów. Właściciel firmy, Michał Wilczyński, stara się nikogo nie faworyzować, chociaż ma szczególny sentyment do niektórych wykonawców, czego dowodem pokaźna dyskografia SBB, Jerzego Miliana czy Andrzeja Korzyńskiego, która ukazała się nakładem jego wytwórni. Klienci robią zakupy w sklepie GAD z różnych powodów – żeby nadrobić zaległości historyczne i poszerzyć wiedzę na temat odkrywanych nagrań. Duża część nabywców przychodzi tutaj jednak z sentymentu.

– Wydawane przez nas ścieżki dźwiękowe z filmów „07 zgłoś się" czy „Akademia Pana Kleksa" bazują w pierwszej kolejności na nostalgii. Ludzie je kupują, bo zachowali miłe wspomnienia związane z tymi produkcjami bądź kolekcjonują wszystko, co do tych filmów nawiązuje. Poznałem kiedyś na festiwalu Soundedit mężczyznę, który wyrażał wielki zachwyt wydawaną przez nas muzyką z bajek z bielskiego Studia Filmów Rysunkowych. Aby nie być gołosłownym, pokazał mi swój tatuaż zrobiony pod wrażeniem serialu animowanego „Porwanie Baltazara Gąbki" – śmieje się Wilczyński.

Od czasu do czasu muzyczne archiwalia wydaje Astigmatic Records. Ma na koncie serię „Wooden Music" Tomasza Stańki, funkowe „Zbliżenia" Henryka Debicha i Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi czy piosenki zebrane zapomnianej wokalistki Renaty Lewandowskiej. Pytam, czy klienci kupują głównie z sentymentu do muzyki z dzieciństwa lub młodości tytuły wcześniej nieosiągalne (niewydawane, niewznawiane), a teraz w końcu dostępne. I jaki wpływ na decyzje zakupowe ma pojemność portfela, gdy nie trzeba się bić z myślami, czy mnie na to stać.

– Muzyka archiwalna, którą wydajemy, nie była dostępna wcześniej, nawet w czasach, kiedy ją nagrywano, więc sentyment oraz posiadany budżet nie są tutaj głównymi czynnikami – mówi Łukasz Wojciechowski z Astigmatic Records. – Moim zdaniem jest dość wąska grupa ludzi, którzy czują potrzebę posiadania muzyki na nośniku, by oprócz słuchania móc ją „potrzymać", czy „obejrzeć". Nasze archiwalia koncentrują się wokół konkretnych propozycji gatunkowych: jazzu, funku, soulu. Polska fonografia wydała już na świat sporo perełek, jednak są one policzalne i każde ponownie odkryte wysokiej jakości nagranie z przeszłości to święto dla kolekcjonerów.

Płacimy uwagą albo pieniędzmi

Chętnie oddajemy się wspomnieniom – to żadne odkrycie. Tylko czy tak samo chętnie ponosimy koszty wspomnień, gdy sentyment potaniał i spowszedniał?

– Górę bierze wygoda. Po co wyciągać z szuflady stare kasety magnetofonowe z ulubioną muzyką, skoro nie ma pewności, czy jeszcze działają, nie bardzo jest na czym je odtworzyć, a poza tym jest Spotify czy Apple Music z ogromną biblioteką dźwięków, która mieści się w smartfonie, więc nie trzeba szukać dla niej miejsca na półce? A koszt dostępu do serwisów streamingowych jest symboliczny w porównaniu z cenami płyt z lat 90. W czasach mojego dzieciństwa i młodości mało kogo było stać na zakup oryginalnych nośników, więc pożyczało się i przegrywało piosenki od znajomych albo umawiało na wspólne słuchanie. Tu walutą wymiany były relacje, czyli np. wspólne zainteresowania muzyczne. Znowu więc wracamy do społecznego wymiaru nostalgii – mówi dr Wronecka.

Nostalgia nas kosztuje i będzie kosztowała. Są tylko różne metody rozliczenia. Płacimy pieniędzmi albo uwagą. Wydajemy złotówki albo cenny czas. Jeśli nam na czymś bardzo zależy i chcemy przyjemną przeszłość przenieść w teraźniejszość, to nie zawahamy się zapłacić, bo sentyment się nie targuje – to jedno. Drugie – lubimy kupować, to daje nam skok dopaminowy, no i przecież jesteśmy zamożniejszym społeczeństwem, które nie musi sobie odmawiać tak wiele jak jeszcze trzy dekady temu.

– Miałam kiedyś kasetę „Elf" zespołu Varius Manx. W czasach mojego dzieciństwa ten soundtrack był absolutnym hitem na fali popularności filmu „Młode wilki". Słuchałam tego albumu na okrągło. Ostatnio chciałam go posłuchać ponownie, ale ani na Spotify, ani na innych platformach go nie było. Pomyślałam, że kupię płytę. Oryginalny album kosztuje 150 zł. Niby sporo, ale tyle samo kosztuje dobry obiad dla dwóch osób w restauracji. Postanowiłam nie kalkulować i nie rozliczać się ze swoich wspomnień – puentuje antropolog.

Czy nostalgia wystarczy?

Astigmatic Records nie narzeka – wyprzedał swoje archiwalne tytuły. Czy streaming w tym pomógł, czy zaszkodził? – Jestem przekonany, że gdybyśmy zrezygnowali ze streamingów na rzecz sprzedaży samych nośników fizycznych, nasza sprzedaż oraz rozpoznawalność marki zespołu i wytwórni drastycznie by spadła – nie ma złudzeń Łukasz Wojciechowski.

A co z tezą, którą postawił Łukasz Pawlak z Requiem Records, że informowanie o premierach i nowościach w internecie nie przekłada się istotnie na wyniki sprzedażowe? – Media społecznościowe nie mają takiej siły jak kilka lat temu. Co więcej, w sytuacji gdy Facebook wprowadza płatne linki (chodzi o nową politykę Mety, aby limitować darmowe dodawanie linków w komentarzach pod postami na Facebooku do dwóch w miesiącu – red.), ta siła będzie jeszcze bardziej malała. A cała idea internetu opiera się przecież na istnieniu linków, które łączą poszczególne miejsca i w ten sposób tworzą całą sieć. Nie mówię o tym, aby się żalić. Dla mojej firmy to motywacja do zbudowania na nowo strony internetowej w formie bloga jak 20 lat temu. W końcu skoro zajmujemy się muzyką sprzed lat, to i działania promocyjne mogą być w podobnym duchu – pociesza się Michał Wilczyński. ©℗

eprasa.pl b4f9edcde2

KOMUNIKATY

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU

Prezydent Miasta Bydgoszczy

Informuje o I przetargu ustnym nieograniczonym
na sprzedaż lokalu mieszkalnego stanowiącego własność Miasta Bydgoszczy
położonego w Bydgoszczy przy ul. J.J. Śniadeckich 12/7

1. **Oznaczenie nieruchomości:**
   Lokal mieszkalny nr 7, znajdujący się na III piętrze (poddaszu) w 3-kondygnacyjnym budynku z poddaszem użytkowym położonym przy **ul. J.J. Śniadeckich 12** o pow. **92,43 m²** oraz udział w nieruchomości wspólnej wynoszący **9243/117432** części działki nr ewid. **93/1** o pow. **445 m²** (obręb 127) – zapisanej w księdze wieczystej KW nr **BY1B/00065308/9** i tej samej wysokości udział w częściach wspólnych budynku i urządzeń, które nie służą wyłącznie do użytku właścicieli lokali.
2. Lokal mieszkalny przeznaczony jest do sprzedaży **w drodze przetargu ustnego nieograniczonego.**
3. **Cena wywoławcza:**
   450 000,00 zł
4. **Termin i miejsce przetargu:**
   11 grudnia 2026 r. godz. 10.00 w Urzędzie Miasta Bydgoszczy przy ul. Jezuickiej 2, Sala Łochowskiego (parter).
5. **Wysokość wadium i termin jego wniesienia:**
   45 000,00 zł, termin wpłaty: do 01.12.2026 r.
6. **Miejsce wywieszenia i publikacji ogłoszenia o przetargu:**
   – tablica ogłoszeń w Referacie Lokali i Wspólnot Mieszkaniowych Wydziału Mienia i Geodezji Urzędu Miasta Bydgoszczy przy ul. Grudziądzkiej 9-15, budynek „C"
   – strona internetowa www.bip.um.bydgoszcz.pl (w zakładce Urząd Miasta - Nieruchomości miejskie)
7. **Dodatkowe informacje o przetargu:**
   Szczegółowe informacje można uzyskać w Wydziale Mienia i Geodezji Urzędu Miasta Bydgoszczy przy ul. Grudziądzkiej 9-15, budynek „C", tel. 52 58 59 188, w godzinach 8.00-16.00 (pon. – czw.); 8.00-14.00 (pt.)
8. Lokal mieszkalny można obejrzeć w dniu **19.11.2026 r. w godz. 14.30 – 14.50.**

Polskie Forum Designu w Łodzi

W Łodzi trwa specjalna edycja Łódź Design Festival, Polskie Forum Designu: Lokalność, realizowana we współpracy z Urzędem Marszałkowskim Województwa Łódzkiego. Do 11 października wystawy i spotkania pokazują, jak lokalne materiały, tradycje i rzemiosło inspirują współczesne projektowanie. W programie znalazły się m.in. wystawa „Wełna. Lokalne źródła i potencjał", konferencja „Siła dziedzictwa" oraz konkurs make me!: Dziedzictwo Przyszłości.

„Dziedzictwo województwa łódzkiego to żywy zasób. Umiejętności rzemieślników, historia przemysłu i tradycje naszych miejscowości mogą inspirować nowe produkty, wzmacniać lokalne marki i tworzyć możliwości rozwoju regionu", mówi Marszałek Województwa Łódzkiego, Joanna Skrzydlewska.

Program: www.lodzdesign.com.

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA
O PRZETARGACH USTNYCH NIEOGRANICZONYCH

ogłoszonych przez Zarząd Dzielnicy Śródmieście miasta stołecznego Warszawy
na sprzedaż lokali mieszkalnych nr 18 i 19 usytuowanych w budynku położonym w Warszawie
w Dzielnicy Śródmieście przy ul. Marszałkowskiej 81 wraz z udziałami w prawie własności gruntu.

Przedmiotem przetargów jest sprzedaż lokali mieszkalnych nr 18 i 19 stanowiących własność m.st. Warszawy, usytuowanych w budynku położonym przy ul. Marszałkowskiej 81.

Z przedmiotowymi lokalami związane są udziały w częściach wspólnych budynku i jego urządzeń, które nie służą do wyłącznego użytku właścicieli poszczególnych lokali oraz takie same udziały w prawie własności gruntu, na którym znajduje się budynek, oznaczonego jako działka ewidencyjna nr 68 o powierzchni o powierzchni 1 637 m² w obrębie 5-05-03:

1. lokal mieszkalny **nr 18** o powierzchni 153,90 m² wraz z udziałem w nieruchomości wspólnej w wysokości 15390/402046 oraz takim samym udziałem w prawie własności gruntu, usytuowany na IV piętro (V kondygnacja naziemna), składający się z 5 pokoi, kuchni, pomieszczenia gospodarczego, WC, dwóch przedpokoi i łazienki; wyposażony jest w instalacje: elektryczną, centralnego ogrzewania, centralnej ciepłej wody, gazową oraz wodno-kanalizacyjną; do lokalu przylega balkon; lokal do remontu;

   Cena wywoławcza: 2.600.000 zł
   Wadium (wniesione w pieniądzu): 260.000 zł
   Minimalne postąpienie: 26.000 zł,
2. lokal mieszkalny **nr 19** o powierzchni 155,29 m² wraz z udziałem w nieruchomości wspólnej w wysokości 15529/402046 oraz takim samym udziałem w prawie własności gruntu, usytuowany na IV piętro (V kondygnacja naziemna), składający się z 5 pokoi, kuchni, pomieszczenia gospodarczego, łazienki, wc, dwóch przedpokoi; wyposażony jest w instalacje: elektryczną, centralnego ogrzewania, centralnej ciepłej wody, gazową oraz wodno-kanalizacyjną; do lokalu przylega balkon; lokal do remontu;

   Cena wywoławcza: 2.450.000 zł
   Wadium (wniesione w pieniądzu): 245.000 zł
   Minimalne postąpienie: 24.500 zł,

Podane ceny nie zawierają podatku od towarów i usług (VAT). Sprzedaż lokali zwolniona jest od podatku VAT na mocy art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (Dz. U. z 2025 r. poz. 775 z późn. zm.).

Udział w przetargach mogą brać osoby fizyczne i prawne oraz jednostki organizacyjne nieposiadające osobowości prawnej, którym ustawa przyznaje zdolność prawną, które terminowo wpłacą wadium i złożą zgłoszenie udziału w przetargu wraz z wymaganymi załącznikami zgłoszenia stanowią odpowiednio załączniki nr 1 i nr 2 do Regulaminu przetargów).

Wadium winno być wpłacone na rachunek Dzielnicy Śródmieście miasta stołecznego Warszawy: Bank Handlowy S.A. w Warszawie Nr 60 1030 1508 0000 0005 5001 0135 **do dnia 4 grudnia 2026 r.** Za datę wpłacenia wadium uważa się wpływ wymaganej kwoty na ww. rachunek bankowy. Tytuł wpłaty wadium winien jednoznacznie wskazywać uczestnika przetargu oraz lokal, którego wadium dotyczy.

Przetargi odbędą się w siedzibie Urzędu Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy przy ul. Nowogrodzkiej 43, I piętro – sala konferencyjna.

Przetarg na sprzedaż lokalu mieszkalnego nr 18
odbędzie się w dniu **10 grudnia 2026 r. o godzinie 10.00**

Przetarg na sprzedaż lokalu mieszkalnego nr 19
odbędzie się w dniu **10 grudnia 2026 r. o godzinie 11.00**

Ogłoszenia o przetargach zostały opublikowane na stronach internetowych Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy srodmiescie.um.warszawa.pl oraz zamieszczone w Biuletynie Informacji Publicznej Miasta Stołecznego Warszawy, a także na Elektronicznej Tablicy Ogłoszeń Urzędu m.st. Warszawy (ETO).

Szczegółowe informacje dotyczące przetargów można uzyskać w Wydziale Zarządzania Nieruchomościami dla Dzielnicy Śródmieście, tel. (22) 443 94 33 lub (22) 443 94 37, e-mail: srodmiescie.rob@um.warszawa.pl od poniedziałku do piątku w godz. 8.00 – 16.00, w okresie od ukazania się ogłoszenia do terminu przetargów.

AUTOPROMOCJA

WWW.IKOMUNIKATY.PL
Ogłoszenia w Dzienniku Gazecie Prawnej
gazeta + internet
Ewa Gromek-Tyburska ewa.gromek@infor.pl, tel. + 48 510 024 764
Kinga Cikacz kinga.cikacz@infor.pl, tel. + 48 668 450 116
Ewa Micek ewa.micek@infor.pl, tel. + 48 519 337 889

KOMUNIKAT

GN.II.6853.11.2026 Przemyśl, dnia 6 października 2026 r.

OGŁOSZENIE

Działając na podstawie **art.113 ust. 5, 7, art. 114 ust. 3 i 4 w związku z art.124, 124a** ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. **o gospodarce nieruchomościami** (tekst jednolity Dz. U. z 2026 r., poz. 399 z późn. zm.) ustawy z 14 czerwca 1960 r. **Kodeks postępowania administracyjnego** (tekst jednolity Dz. U z 2025 r. poz. 1691 z późn. zm.)

Starosta Przemyski

wykonujący zadanie z zakresu administracji rządowej

1. **zawiadamia o zamiarze wszczęcia postępowania administracyjnego, zobowiązującego w drodze decyzji administracyjnej właściciela, współwłaścicieli** lub osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do nieruchomości **o nieuregulowanym stanie prawnym** położonej **w Sufczynie,** w gminie Bircza, w powiecie przemyskim, województwie podkarpackim. Nieruchomość ta oznaczona jest w operacie ewidencji gruntów i budynków oraz księdze wieczystej **nr PR1P/00038648/9** jako **dz. nr 126 o pow. 0,55 ha,** o użytkach: grunty orne RIIIa o pow. 0,27 ha, grunty orne RIIIb o pow. 0,17 ha, grunty orne RIVa o pow. 0,11 ha, stanowiącej **własność zmarłego w dniu 28 października 2000 r. w Przemyślu – Pana Władysława Błażkowskiego** s. Anny i Jana ur. 24.09.1931 r., **po którym nie zostało przeprowadzone postępowanie spadkowe** do udostępnienia – **PGE Dystrybucja S.A z/s w Lublinie** powierzchni:
   1) **682 m² w pasie budowlano-montażowym** zaznaczonym na załączniku graficznym przedłożonym do wniosku przez PGE Dystrybucja S.A z siedzibą w Lublinie linią przerywaną koloru zielonego i opisaną punktami o numerach 1-2-3-4-5-6-1.
   2) **23 m² w pasie technologicznym,** zaznaczonym na załączniku graficznym przedłożonym do wniosku przez PGE Dystrybucja S.A z siedzibą w Lublinie linią przerywaną koloru niebieskiego i opisaną punktami o numerach 1-2-3-4-5-6-1

przez udzielenie zezwolenia na założenie i przeprowadzenie na wyżej wymienionej nieruchomości **elektroenergetycznych podziemnych sieci kablowych średniego napięcia SN (15 kV) i niskiego napięcia nN (0,4kV), zgodnie z treścią decyzji Burmistrza Miasta i Gminy Bircza z dnia 18 grudnia 2025 r. o znaku ROA.6733.8.2025, ostatecznej z dniem 16.01.2026 r., o ustaleniu lokalizacji inwestycji celu publicznego na terenie m. in. dz. nr 126 obr. Sufczyna.**

W związku z powyższym, wzywa się osoby którym przysługują prawa rzeczowe do w/w nieruchomości, aby w terminie 2 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia w gazecie o zasięgu ogólnopolskim, na tablicy ogłoszeń Starostwa Powiatowego w Przemyślu Plac Dominikański 3, tablicy ogłoszeń Sołectwa Sufczyna, tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta i Gminy w Birczy oraz w BIP Powiatu Przemyskiego tj. od dnia 9 października 2026 r. do dnia 9 grudnia 2026 r. zgłosiły i udokumentowały te prawa w Starostwie Powiatowym w Przemyślu Pl. Dominikański 3, pokój 83, II Piętro, tel. 16 888-03-87. Niezgłoszenie się osób legitymujących się prawami rzeczowymi do w/w nieruchomości w podanym wyżej terminie skutkować będzie wszczęciem wyżej opisanego postępowania administracyjnego.

eprasa.pl b4f9edcde2

Sztuka dla sztuki nie istnieje

Ostatecznie „Iluzjon" okazuje się powieścią grozy, rzeczą o nieuniknionym osuwaniu się w otchłań

FOT. ULLSTEIN BILD VIA GETTY IMAGES

Reżyser Georg Wilhelm Pabst oraz aktorka Brigitte Helm, 1932 r.

Piotr

Kofta

Był czas, kiedy regularnie chodziłem do teatru. Kto mnie zna, powie: niemożliwe. Ale to prawda – tyle że niepełna. Bo chodziłem co najwyżej z sypialni do dużego pokoju, by wieczorami oglądać Teatr Telewizji.

Na przełomie lat 80. i 90. spektakle realizowane przez TVP były klasą same w sobie. Wszystkie te wspaniałe sztuki – m.in. „Przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna" Ivo Brešana (reż. Olga Lipińska), „Samobójcę" Nikołaja Erdmana (reż. Kazimierz Kutz), „Scenariusz dla trzech aktorów" Bogusława Schaeffera (reż. Mikołaj Grabowski), „Ławeczkę" Aleksandra Gelmana (reż. Maciej Wojtyszko), „Kolację na cztery ręce" Paula Barza (reż. Kazimierz Kutz) czy „Trans-Atlantyk" Witolda Gombrowicza (reż. Mikołaj Grabowski) – oglądałem na czarno-białym ekranie, ale pamiętam je jako intensywnie kolorowe. Może dlatego, że mułowata czerń i biel telewizora Ametyst 1012 pozostawiała sporo miejsca dla wyobraźni.

Najwyraźniej spośród tych spektakli przypominam sobie jednak ten prawie najstarszy z zestawu: „Opowieści Hollywoodu" Christophera Hamptona (reż. Kazimierz Kutz) z 1986 r. – ironiczno-melancholijną opowieść o niemieckich i austriackich artystach, którzy umknęli przed nazizmem do USA, gdzie z różnym powodzeniem próbowali zaczepić się w przemyśle filmowym. Sztuka ta opiera się na triku: jej bohaterem jest nieboszczyk. Ödön von Horváth, bo o nim mowa, popularny austro-węgierski dramaturg i pisarz (współcześnie wystawiany także w Polsce), w 1938 r. opuścił Rzeszę i wyjechał do Paryża. 1 czerwca zginął tam podczas letniej burzy na Polach Elizejskich uderzony w głowę spadającą gałęzią.

U Hamptona Ödön von Horváth (grany przez Janusza Gajosa) nie ginie – gałęzią obrywa inny przypadkowy przechodzień. Ödön wyjeżdża do Stanów i próbuje zostać scenarzystą w fabryce snów. Prowadzi też średnio udane życie towarzyskie wśród niemieckojęzycznej diaspory w Los Angeles; w skład tego sfrustrowanego grona uciekinierów wchodzą choćby Thomas Mann (literacki noblista z 1929 r.), jego brat Heinrich, a także Bertolt Brecht.

W owym czasie Hollywood z oczywistych względów przeżywało istny najazd przybyszów z Europy – niezwykle zasłużonych, szalenie utalentowanych i kompletnie nieprzygotowanych na amerykańskie realia. Należał do nich Austriak Georg Wilhelm Pabst (1885–1967), jeden z najsłynniejszych i najbardziej nowatorskich reżyserów w dziejach kina pierwszej połowy XX w. Oczywiście Pabst – jak wielu innych – odbił się z hukiem od Hollywoodu choćby dlatego, że nigdy nie nauczył się porządnie mówić po angielsku. Nikogo też nie obchodziły tam jego umiejętności budowania kadru, montażu czy prowadzenia aktorów. Wyjechał do USA wcześnie, bo w 1933 r. Rok później – pod presją producentów – nakręcił w Ameryce romansidło „Współczesny bohater", które, by rzec delikatnie, nie odniosło sukcesu. Wobec braku sensownych perspektyw wrócił z żoną i dzieckiem do Europy, do Francji.

Figura kolaboranta

Taki jest punkt wyjścia znakomitej powieści „Iluzjon" Daniela Kehlmanna: Pabst stoi przed pytaniem, czy w ogóle będzie mógł kontynuować karierę artystyczną, a robienie filmów jest dla niego wszystkim. Sprawa niejako rozwiązuje się sama – już po anschlussie przychodzi do niego telegram, w którym zostaje on wezwany do ciężko chorej matki. Jest to wycieczka (wraz z rodziną) w jedną stronę, bo do III Rzeszy łatwo wjechać, ale wyjechać z niej niezmiernie trudno. Zwłaszcza gdy jest się słynnym reżyserem, którego reżim nie zawaha się wykorzystać propagandowo. Ostatecznie złote lata Pabsta to jednocześnie złote lata Republiki Weimarskiej – przydomek „czerwony Pabst" nie wziął się znikąd. Ograć nawrócenie takiego grzesznika to dla nazistów prawdziwa okazja.

To sytuacja, w której niektórzy strzelają sobie w łeb. Ale Kehlmanna interesuje inna figura – figura kolaboranta, który nieustająco wmawia sobie, że pozostaje neutralny i zajmuje się jedynie sztuką. W tym celu pisarz układa powieść na kształt moralnej pułapki, w którą gramoli się podstarzały reżyser i w którą ciągnie swoich bliskich. Każdy rozdział, a wszystkie one mają formę błyskotliwych nowelistycznych miniatur, to kolejny kompromis, kolejne ustępstwo, kolejna racjonalizacja. I nagle budzisz się na planie kostiumowego filmu, który ma utrwalać aryjskie wartości, pod nogami plączą ci się reżimowi aktorzy, donosiciele i oficerowie polityczni, twój syn jest fanatycznym członkiem Hitlerjugend, marzącym o wyjeździe na front, a twoja żona chleje do nieprzytomności, żeby nie musieć tego wszystkiego oglądać na trzeźwo. Co gorsza, wciąż ci się wydaje, że możesz odnieść zwycięstwo i kupić sobie alibi, kręcąc ponadczasowe arcydzieło.

Kehlmann (rocznik 1975) to wybitny pisarz – mógłbym się podpisać pod tym twierdzeniem nawet bez znajomości „Iluzjonu"; dostaliśmy wcześniej choćby jego „Rachubę świata" (przeł. Jakub Ekier, W.A.B., Warszawa 2007) i „Tylla" (przeł. Urszula Poprawska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022). Oczywiście jest problem z recepcją niemieckiej literatury w Polsce – z różnych powodów, na których zgłębianie nie ma tu miejsca, wolimy czytać Amerykanów, Brytyjczyków, Latynosów czy Francuzów. Zalecałbym jednak zerwanie z przyzwyczajeniami właśnie dla Daniela Kehlmanna, bo to mistrz powieści biograficzno-historycznej, ale pisanej pod włos, z polemicznym zadziorem, w wielkim oddaleniu od patosu przynależnego zwyczajowo temu gatunkowi.

Przeszłość zawsze powraca

Podobnie jest w wypadku „Iluzjonu" i postaci Pabsta. Trudno dziś całkiem serio pisać kolejną książkę rozliczeniową o kolaboracji z nazizmem – temat, nawet jeśli niewyczerpany faktograficznie, z pewnością został wyeksploatowany narracyjnie. Dlatego niemiecki autor wykonuje kluczowy gest – buduje uniwersalną historię o toksycznych relacjach sztuki z polityką, ale nie naiwnie, raczej w przekonaniu, że nie da się od tych relacji uciec, można jedynie walczyć o to, by mieć jakikolwiek wpływ na ich kształt, co z kolei wymaga bolesnej rezygnacji z tego, czego artyści – i ci wielcy, i ci mali – mają zwykle w nadmiarze, czyli z pychy i miłości własnej.

Kehlmann pisze z empatią, gorzkim humorem, często sięgając po sytuacyjną groteskę (ten specyficzny – zdystansowany, a zarazem bliski – język jest znakomicie oddany w polskim przekładzie Ryszarda Wojnakowskiego), choć ostatecznie „Iluzjon" okazuje się powieścią grozy, rzeczą o nieuniknionym osuwaniu się w otchłań. Przy niewielkiej zmianie dekoracji ta historia mogłaby się zresztą dziać we współczesnej putinowskiej Rosji, także ogarniętej przecież faszystowskim amokiem i mrocznym kultem śmierci.

Nie chodzi przy tym o relatywizowanie niemieckich win, ale o to, by czytelnik nie pozostał uspokojony tym, że oto opowiada mu się o zdarzeniach z przeszłości, która nie powróci. Ona powraca nieustannie. Ostatnio w miejscach mniej spodziewanych – w rodzaju Izraela, który głosem swoich ministrów dyscyplinuje artystów i grozi odebraniem obywatelstwa niepokornym filmowcom pokazującym prawdę o ludobójstwie w Strefie Gazy. Zresztą „Iluzjon", choć traktuje o filmowcach, scenarzystach i aktorach, ma szerszy kontekst: mówi o zgniłych kompromisach, które czasami musimy zawrzeć, bo nie zawsze można sobie pozwolić na bunt.

Żeby nie było za poważnie – Kehlmann ma też nieprzeciętny talent komediowy. Rekomenduję szczególnie sceny z udziałem niejakiego Hipplera, szefa departamentu filmu w Ministerstwie Propagandy, oraz znacznie bardziej znanej Leni Riefenstahl, gwiazdy nazistowskiej kinematografii, która po wojnie kręciła dokumenty etnograficzne o afrykańskich plemionach. Oboje zmarli w bardzo dojrzałym wieku – Hippler miał 95 lat, Riefenstahl lat 101 – i zasadniczo niewiele włosów spadło im z głowy za czyny z okresu III Rzeszy. Ta ponura konstatacja też jest częścią „Iluzjonu". ©℗

Daniel Kehlmann

„Iluzjon", przeł. Ryszard Wojnakowski, Rebis, Poznań 2026

eprasa.pl b4f9edcde2

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Ormuz, Suez i triumf geografii nad globalizacją

Rafał Woś

Minęły trzy lata od krwawego ataku palestyńskiego Hamasu na Izrael w ramach operacji „Powódź Al-Aksa". Tamto wydarzenie było geopolitycznym szokiem. Z ekonomicznego punktu widzenia konsekwencje wybuchu wojny w Gazie nie były jednak aż tak niesamowite, jak się pierwotnie spodziewano. Na tym ostatnim polu najważniejsza okazała się czasowa blokada Kanału Sueskiego, czyli jednego z kluczowych szlaków handlowych świata.

Faktyczne zamknięcie egipskiego przesmyku jest zdarzeniem z pozoru bliźniaczo podobnym do tego, co się zdarzyło po marcu 2026 r., gdy zamarł ruch cargo przez cieśninę Ormuz. Lektura nowej pracy ekonomistów Carstena Brockhausa, Juliana Hinza i Charlesa Serfaty'ego pozwala jednak dostrzec, że – mimo pozornych podobieństw – te dwa wydarzenia różnią się od siebie bardzo mocno.

Przypomnijmy wpierw zdarzenia z roku 2023. Plan najsilniejszego od dekad arabskiego uderzenia w Izrael zakładał, że do palestyńskich oddziałów operujących z hamasowskiej Gazy przyłączy się nie tylko palestyński Zachodni Brzeg, lecz także libański Hezbollah oraz bojówki Hutich kontrolujących de facto sporą część północnego Jemenu. Wszystko to pod kuratelą największego od lat ośrodka antyizraelskiego, czyli Iranu.

Jemen leży – jak wiadomo – w miejscu, gdzie Morze Czerwone zwęża się przed wyjściem na Ocean Indyjski. Po drugiej stronie tego długiego akwenu oddzielającego Półwysep Arabski od Afryki jest Przesmyk Sueski. Od końca XIX stulecia wiedzie tamtędy jeden z najważniejszych i najszybszych szlaków handlowych łączących Europę z Bliskim i Dalekim Wschodem. To właśnie strategiczne położenie tego miejsca stało się lewarem dla Hutich. Między listopadem 2023 r. a wrześniem 2025 r. przeprowadzili oni w sumie 95 ataków na statki płynące do Suezu albo z Suezu. Pretekstem było za każdym razem to, że mogły one dostarczać wsparcie dla Izraela. W rezultacie tranzyt przez Kanał Sueski w krótkim czasie spadł o dwie trzecie.

Jakkolwiek dramatyczne mogłoby się to wydawać, wpływ akcji Hutich na światową gospodarkę okazał się znikomy. Już po pierwszych atakach ruch morski zaczął się dopasowywać do nowej sytuacji. Owszem, czas podróży morskiej towarów oraz surowców uległ wydłużeniu (ze średnio 25 dni do ok. 40), wzrosły też koszty transportu. Nie odbiło się to jednak niemal wcale na światowej gospodarce. Jedynym autentycznie przegranym był Egipt, który odnotował znaczne zmniejszenie wpływów z obsługi kanału. Pozostali szybko zorganizowali szlaki. W drugiej połowie 2025 r. intensywność ataków osłabła, by w końcu ustać zupełnie po zawarciu wynegocjowanego z udziałem nowego prezydenta USA rozejmu. Sytuacja na wodach też dość szybko wróciła do przedwojennej normalności.

Warto zauważyć, że przebieg tamtego kryzysu różnił się znacznie od tego, co się działo po marcu 2026 r., gdy zaatakowany Iran sięgnął po swoje „koło ratunkowe" i próbował zablokować cieśninę Ormuz u wylotu Zatoki Perskiej. Ciekawe jest to, że choć ruch przez Ormuz nigdy nie zamarł tak bardzo jak Suez w latach 2023–2024, to jednak konsekwencje wojny amerykańsko-irańskiej dla światowej gospodarki są dziś bardzo mocno odczuwalne. Głównie pod postacią cen paliw. Stało się tak rzecz jasna dlatego, że Zatoka Perska – w przeciwieństwie do Morza Czerwonego – jest de facto ślepą uliczką. Nie da się więc na szerszą skalę wysłać eksportu z Zatoki w świat inną trasą. Próby są oczywiście podejmowane. Są to rurociągi Arabii Saudyjskiej prowadzące nad Morze Czerwone, wysiłki ominięcia Ormuzu w ten sam sposób przez Zjednoczone Emiraty albo desperackie akcje wożenia ropy cysternami i pociągami z Iranu przez Syrię. Nie były to jednak rozwiązania możliwe do realizacji w skali odpowiadającej potrzebom.

Blokada Ormuzu przyniosła znaczne straty krajom Zatoki – głównie Iranowi i Katarowi, a także tym wszystkim (m.in. Europie), którzy są uzależnieni od importu strategicznych surowców. Mamy tu więc znów triumf twardej geografii nad wszelkimi kalkulacjami inspirowanymi przekonaniem, że świat jest jedną wielką i płaską wioską. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

Co to ja miałem zrobić?

Hubert Drążkowski

Człowiek potrzebuje chwili wytchnienia, np. momentu oderwania od pracy. W tym czasie może zatopić się w myślach, niezobowiązująco porozmawiać z innymi albo też sięgnąć po smartfon. Wszystkie te czynności różnią się natężeniem informacji, z którymi się zaznajamiamy, i tym, jak dogłębnie się z nimi zaznajamiamy. Więcej, szybciej i intensywniej stymuluje efekt natychmiastowej gratyfikacji, nakłaniając coraz więcej z nas do wzięcia do ręki telefonu. Czy wchodząc w interakcję z tak radykalną formą przyciągania naszej uwagi, dzielimy się nią z korporacjami bezstratnie, czy też kradną one ją bezpowrotnie?

Nadmiar informacji jest związany ze wzrostem chronicznego stresu, a korzystanie z mediów społecznościowych może mieć szkodliwy wpływ na funkcjonowanie pamięci. Francesco Chiossi, Luke Haliburton, Changkun Ou, Andreas Butz, Albrecht Schmidt (wszyscy z Uniwersytetu Ludwiga Maksymiliana w Monachium) przeprowadzili eksperyment symulujący sytuację taką, jak ta opisana na wstępie. Uczestnicy badania wykonywali dwa zadania. Pierwsze polegało na jak najszybszym rozstrzygnięciu, czy prezentowany ciąg liter tworzy słowo. Drugie wymagało zapamiętania dodatkowych poleceń i wykonania dodatkowej czynności, gdy w trakcie zadania pojawiały się określone słowa sygnały.

Po kilku rundach „zabawy" przerwano eksperyment i zarządzono 10 min przerwy – w jej trakcie uczestnicy badania mogli pobyć ze swoimi myślami, pooglądać rolki na TikToku, poczytać wpisy na X albo obejrzeć dłuższe filmiki na YT. Po przerwie wrócili do „gry". Najwyraźniej z rozpoznawaniem słów jest jak z jazdą na rowerze – tego się nie zapomina. To zadanie wychodziło wszystkim grupom tak samo dobrze, jak przed przerwą. Co do zadania, w którym należało pamiętać szczególne polecenie, to brak stymulacji, oglądanie długich filmów czy czytanie krótkich wypowiedzi prowadziły do podobnych wyników przed przerwą i po niej. Uff, może nie wszystko stracone... A co z rolkami z TikToka? Tu dokładność wykonywania zadań spadła z ok. 80 proc. do aż ok. 50 proc. Okazało się, że krótkie, angażujące nagrania silnie pochłaniają uwagę oraz zasoby pamięci roboczej, przez co trudniej było zapamiętać i wykrywać wskazówki (spadek efektywności przetwarzania i bardziej liberalne kryterium decyzji w stosunku do innych grup). Wynik badania został potwierdzony przez Nicholasa Bartona i Michaela Smytha (obaj z Uniwersytetu w Bristolu) w podobnym eksperymencie.

Zastanówmy się więc, czy zawsze warto po telefon sięgać. A nawet jeśli już to zrobimy, pamiętajmy, że sięgnięcie po smartfon sięgnięciu po smartfon jest nierówne. A nawet: może się różnić jakością o prawie połowę. ©℗

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Czy rozwój AI może nas zabić"

Autor jest ekonomistą GRAPE

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń (kierownik), Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PiK), Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler, Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap, Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Zamówienia na prenumeratę przyjmują: Kolporter, Garmond Press, GLM, AS Press oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
℗ – znak odpłatności;
©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

eprasa.pl b4f9edcde2